Henryk Grynberg
ŻYDOWSKA WOJNA – BEZ FIKCJI



Od Autora: Jest to transkrypcja na rzecz prawdy nieartystycznej i dokumentu - szczegóły w Posłowiu. Tylko ta wersja teraz obowiązuje. Czytelnicy mają nieograniczone prawo udostępniania i rozpowszechniania. Wydawcy mogą publikować drukiem bez honorarium i tantiem dla autora, ale i bez prawa do wyłączności.

Motto: Przeraża mnie cena życia. Dlatego powracam do nieuniknionego losu mojego ojca i nieprawdopodobnie wytrwałej w samotnej walce kobiety, mojej matki. Muszę to zrobić jeszcze raz, teraz gdy znów tak niebezpiecznie jest żyć.

Część pierwsza

OJCIEC

Ojciec biegał do dziedzica, przekupywał żandarmów, robił co mógł. Dziedzic przekonywał Niemców, że ojciec jest na folwarku niezbędny, i jeśli naprawdę im zależy, żeby w terminie dostarczano kontyngenty, jakich się domagają, to powinni mu ojca na folwarku zostawić tak długo, jak długo jak to możliwe. Ojciec więc nadal kontraktował mleko. Zainstalował jeszcze jedną centryfugę. Odprowadzał śmietanę na rynek. I nigdy już więcej się z dziedzicem nie targował. Dziedzic go chronił jak długo mógł. Gdy nie było już innej rady, ojciec wypożyczył furę załadował ją tobołami i pojechaliśmy w świat. Ja i mama z małym Bućkiem siedzieliśmy wysoko na tobołach a on szedł obok, żeby pomóc koniu.

Pojechaliśmy do Dobrego, do rodziny mamy, gdzie często jeździliśmy na święta, tylko teraz spaliśmy na piętrowych pryczach z desek. Do Dobrego przesiedlono w tym czasie również dziadka z Nowej Wsi z rodziną, ale oni mieli tu własną ćwiartkę kamienicy.

W Dobrem mieszkało trzysta żydowskich rodzin. Ogrodzenia żadnego nie było, ale nie wolno już było Żydom wychodzić poza obręb miasteczka. Była Rada Żydowska, która miała do dyspozycji trzech żydowskich policjantów z pałkami. Było ciasno, bo Niemcy zabrali najlepsze mieszkania, ale klepy i warsztaty były otwarte, był rabin i chodziło się do ciasnej zawsze przepełnionej bóżnicy. Kierownik szkoły, Zych, porządny człowiek, postarał się, żeby żydowskie dzieci nadal chodziły do szkoły. Młodsza siostra mamy, Basia, właściwie Basja od Bat-ja, Córka Boga – bujne czarne warkocze i niebieskie oczy, że nie można było oderwać od niej wzroku - zdążyła skończyć tę szkołę. Najmłodszy z rodzeństwa, Szebsl od Sabataj, Szabataj, Szabsaj – jasnooki blondyn z długimi pejsami, w jarmułce, spodniach tylko po kolana i białych chasydzkich pończochach – nie zdążył. Basia niechętnie się uczyła, a Szebsl przeciwnie, był najlepszym uczniem zarówno w szkole, jak i w Talmud-Torze i przepowiadano mu wielką przyszłość. Krótko przed naszym przyjazdem wróciła do domu Chańcia, mamy siostra tylko dwa lata młodsza, ale jeszcze panna. Uciekła z warszawskiego getta, spuchnięta z głodu, z bardzo krótkimi włosami po tyfusie. Uciekła z wielkiego świata, do którego przedtem uciekła z Dobrego.

Niemców w Dobrem było sześciu. Nie znęcali się, nikogo nie zabili. Kazali tylko tłuc kamienie na szosie. Mama kazała mnie pewnego razu z południowym posiłkiem dla dziadka. Klęczał z młotkiem w ręku i patrzył na mnie bez słowa jak do fotografii. Dlatego zapamiętałem i może dlatego mnie tam mama posłała. Oprócz tego wysyłano pewien kontyngent silniejszych mężczyzn pod Węgrów do kopania rowów.

Miasteczko dostawało przydział cukru i mąki a zadaniem Rady było rozdzielanie tego cukru i mąki na kartki. Ale cukru i mąki było za mało i nie starczało dla wszystkich, nawet na kartki. Jedni dostawali, a drudzy nie i kto pierwszy ten lepszy. Potem okazało się, że kto miał „pokrycie" w gotówce na odpowiednią ilość kartek, ten przychodził na czas, a kto nie miał, to przychodził zawsze „za późno". Ojciec miał pieniądze, więc wszystko było w porządku, dopóki Rada nie przehandlowała w Mińsku połowy cukru, po czym nie przydzieliła kartek ludności „mniej potrzebującej". Wśród nich znaleźli wszyscy dosiedleni do Dobrego jak my.

Nasz dobry znajomy Słoń z Dropia koło Radoszyny, poszedł do Nusena, który był prezesem Rady.

- Dlaczego mi nie dałeś kartek?
- Bo nie ma - odpowiedział Nusen.
- Czego nie ma?
- Cukru, dali tylko połowę.
- A kartki dali?
- Jakie kartki?
- A te!... — powiedział Słoń i chwycił plik kartek, które dostrzegł u Nusena w kredensie za szkłem.

Nusen skoczył, żeby mu je odebrać, ale Słoń wybiegł na ulicę. Nusen za nim. A Słoń na posterunek polskiej policji. W rezultacie Słoń dostał mąkę i cukier, lecz gdy zażądano dodatkowego kontyngentu kopaczy do obozu koło Węgrowa Słoń się znalazł na liście. Gdy on kopał rowy, jego żona i dzieci zachorowali na tyfus. Słoń się dowiedział i szukał sposobu, żeby uciec. Pewnego razu Niemiec zauważył, że Słoń w jednym miejscu kopie głęboko, jak trzeba, a gdzie indziej nie i zdzielił go zdzielił szpicrutą. Słoń się chwycił za brzuch i powiedział, że musi iść w krzaki. A krzaki się ciągnęły się lasu, więc został w lesie do nocy wrócił do domu. Wynajął u

chłopa furmankę i powiózł żonę z obojgiem dzieci do szpitala. Nie do Mińska, gdzie chorym kazali leżeć aż umrą, tylko do prawdziwego szpitala, do Węgrowa. Szedł obok wozu, żeby się nie zarazić, ale zachorował i w Węgrowie położono ich razem. Gdy wrócili ze szpitala ich mieszkanie było już zajęte przez inną rodzinę i Nusen przydzielił ich do baraku z biedakami. Słoń po chorobie ledwo się trzymał na nogach, ale zaraz poszedł do Nusena.

- Co ty sobie myślisz? Oddajesz moje mieszkanie a moja żona i dzieci ledwo wyratowane z tyfusu, mają mieszkać w szopie z żebrakami?!

- A ty co sobie myślisz? — odpowiedział Nusen. — Uciekasz z obozu, a ja mam za ciebie odpowiadać? Ja też mam żonę i dzieci! Skąd miałem wiedzieć, że wrócicie ze szpitala? Czy dużo ludzi stamtąd wraca?

Nusen miał żonę, starszą od siebie i robił to, co mu kazała. Miał troje dzieci, dobrze odżywionych, ładnie ubranych. Miały rowerki na trzech kółkach i jednakowe kędzierzawe fryzurki aż trudno było powiedzieć, które jest chłopcem, a które dziewczynką.

- To dlaczegoś mnie wysłał do obozu? - dopominał się Słoń.

- A kogo miałem wysłać? Wszystkich zdatnych już wysłałem. Czy miałem iść sam?

- Dlaczegoś nie wysłał tych kryminalistów z drewnianymi pałkami, którzy są u ciebie policjantami?

- Ty się w moje urzędowe sprawy nie wtrącaj! – zdenerwował się Nusen i walnął pięścią w stół. A wtedy Słoń dostrzegł, że pod stołem przykrytym długim obrusem leży łeb czarnej jałówki. Bo Nusen, który był rzeźnikiem, nielegalnie bił bydło do spółki z innymi rzeźnikami i handlarzami.

- Ja się w twoje sprawy nie będę wtrącał, jak mi oddasz moje mieszkanie - odrzekł Słoń.

- A jak nie?

- Jak nie... - Słoń się schylił pod stół i wyciągnął za uszy łeb czarnej jałówki. I dostał z powrotem mieszkanie.

W połowie lata dowiedzieliśmy się o wysiedleniach, w sierpniu z Mińska Mazowieckiego, we wrześniu z Węgrowa i i Sokołowa. Mężczyźni gorączkowo wymieniali informacje. Prowadzili przytłumione rozmowy z kobietami, którym wypadały talerze z rąk. Kobiety z zawiniątkami pod chustami przemykały do łaskawiej przez los nacechowanych nieżydowskich sąsiadów. Gdy lato się skończyło i nic się nie stało, ludzie odetchnęli z ulgą. Nadszedł październik, prawie połowa października i nagle wysiedlenie. Ale tylko dziesięć kilometrów, do Stanisława. I nikogo nie bili ani nie zabili. Przeciwnie, dali podwody i pozwolili zabrać co tylko się zmieści na wóz, więc nikt nie uciekał. Znów mama Buciek i ja na wysoko spiętrzonych tobołach a ojciec w butach z cholewami szedł obok. Jego wysokie plecy uniesione jak pod niewidzialnym ciężarem, jakby podpierał wóz. Gęste czarne brwi i sine ślady po zaroście po same oczy. Jego gęste czarne włosy nie po żydowsku proste połyskiwały w słońcu niemal fioletowo.

W Stanisławowie był ścisk, bo dosiedlono również Żydów z innych miejscowości. W każdym mieszkaniu po kilka rodzin i ojciec drogo zapłacił za osobny pokój dla nas. Na piętrze ze stromymi drewnianymi schodami, po których z nieprawdopodobną prędkością biegali tam i z powrotem młodzi ludzie. Ale i tu nadal działała bóżnica, dużo większa niż w Dobrem, ale nie mniej zatłoczona. Tak zatłoczona, że dzieci nie wpuszczano, więc graliśmy w Berka, biegając wokół budynku i poskakiwaliśmy do okien popatrzeć jak nasi dziadkowie, ojcowie, wujkowie z białych tałesach modlą się żarliwie za nas wszystkich. Byli u wszyscy z naszej rodziny jak na zjeździe rodzinnym i dziadek z Nowej Wsi - stary, brodaty jak prorok – powiedział do mojego wujka Arona, że już ostatnie nasze wspólne święto. A to było Sukot, Święto Szałasów na pamiątkę, że kiedyś byliśmy bezdomni na pustyni. Dziwna to pamiątka, bo na pustyni nigdy nie byliśmy tak bezdomni jak teraz. Jak teraz wśród ludzi.

W Stanisławowie już wszyscy rozumieli, czego się można spodziewać. Dlatego ojciec postanowił, że my już nigdzie się nie stawimy i poumawiał się z okolicznymi gospodarzami, u których można się ukryć i przeczekać. Przeczekać, bo to przecież musi się skończyć jak każde znęcanie się a nawet mordowanie w naszej długiej przeszłości. A my byliśmy ze wsi i wiedzieliśmy, że cokolwiek się stanie, na wsi, na rozległej przestrzeni, łatwiej ukryć się niż w ciasnym mieście.

Niecałe dwa tygodnie kazali nam czekać na to, czego wszyscy się spodziewali: że nazajutrz rano o świcie mamy się stawić na placu wyłącznie

ręcznym bagażem, nie większym niż możemy unieść. Położyliśmy się tej nocy do łóżek w ubraniu. Gdy mama zbudziła mnie zdawało mi się, że dopiero co zamknąłem oczy. Okna były szczelnie pozasłaniane i paliły się dwie świeczki jak w szabes. Mama podniosła mnie z łóżka, bo sam nie miałem siły wstać. Widziałem łzy w jej oczach, gdy mi sznurowała trzewiki. Buciek owinięty błękitną kołderką uważnie mi się przyglądał. Nie płakał, w ogóle nie pamiętam go płaczącego. Na nic się nie skarżył i ufnie patrzył nad wiek mądrymi niebieskimi oczami właśnie na mnie, bo jeśli jego duży brat z nim jestem i niczemu się nie dziwię się, to wszystko jest, jak trzeba.

To już nie była noc, gdy biegliśmy w stronę pola. Zewsząd słychać było strzały, gdy biegliśmy przez pole, gdzie każdy krzak wydawał się klęczącym strzelcem. Mama biegła z Buckiem przypasanym do niej wełnianą chustą, a mnie ojciec ciągnął za rękę. Mama w pewnej chwili się zatrzymała, myślałem, że ze zmęczenia, lecz ona tylko coś powiedziała i skręciła w bok. Wtedy ojciec wziął mnie na plecy i tak dobiegł ze mną do lasu. I jeszcze zobaczyłem, jak mama z Buckiem na rękach skręciła w boczną drogę i dotarliśmy na wieś bez nich.

Gospodarstwo było pod lasem, bliżej lasu niż wsi. Gdy ktoś się zbliżał, widać było zawczasu. Dzięki takim przestrzeniom na wsi spotykało się kogo trzeba, innych nie i było dość czasu, żeby się ukryć. Byłem ze wsi i lubiłem wieś. W dobrem nawet woda mi nie smakowała.

Mamę zobaczyłem nazajutrz. Siedziała na środku izby i miała na sobie tę samą wełnianą chustę, w której uciekała z Bućkiem.

- Gdzie Buciek? - spytałem.
- Tu go nie - odpowiedziała. - A gdzie jest?
- Nie męcz matki - powiedziała gospodyni. Jak będziesz ją męczył, to pójdzie sobie i już nie wróci. Idź pobawić się z dziećmi na podwórzu.
- Ale ja chcę wiedzieć, gdzie Buciek!...

Ślub Arona z Fejgą, najstarszą siostrą mojego ojca odbył się w Rembertowie, w dużym domu Jides z Makówca, która była siostrą mojej babki z Nowej Wsi. Jej druga siostra mieszkała w Kałuszynie, nazywali się Guzikowie i mieli garbarnię, pracowali w jej ich synowie, którzy mieli żony i dzieci. Trzecia siostra

mojej babki, Sura, mieszkała w Czarnogłowie, a niektóre ich dzieci i wnuki w Mińsku
Mazowieckim, Jadowie, Węgrowie, Wołominie, Radzyminie. A trzeba dodać braci i siostry dziadka i rodzeństwo dziadka i babci z Dobrego i ich dzieci i wnuki… To był dosłownie nasz kraj rodzinny. Na weselu Arona i Felgi byli mój ojciec i matka i cała rodzina. To był ostatni ich zjazd.

Dziadek kupił Aronowi sklep warzywny w Rembertowie, Kościuszki 13. Fejga stała za ladą, a Aron jeździł z towarem na Pragę. Ich syn urodził się w sierpniu. Miał imię Burech, od Baruch w z drobieniu Buciek jak nasz. Pewnego wieczora Aron wraca do domu, a Fejga pokazuje mu zieloną kartę. Oni o niczym nie wiedzieli. Na pidion-haben swego pierworodnego był już w mundurze i prosto z uroczystości pojechał do Modlina, do 71 pułku, lekka artyleria. Modlin długo się bronił.

Potem handlował nielegalnie żywcem z Biumkiem, który był mężem ciotecznej siostry mojego ojca, i jego młodszym bratem Nutkiem. Gdy rembertowskie getto ogrodzono drutem, przekupywali strażników i wychodzili w nocy. Wracali na drugą lub trzecią noc, przyganiając owce i krowy z zakneblowanymi pyskami. Byli żywicielami getta.

W getcie trudno było wyżywić dziecko, więc Fejga oddała małego do dziadków do Nowej Wsi. Aron nalegał, żeby i ona się przeniosła, ale Fejga nie chciała zostawić sklepu. Pewnej nocy, gdy z Aron, Biumek i Nutek chcieli powrócić - rembertowskiego getta już nie było. Arona i Fejgi synek, mój trzyletni kuzynek, pozostawał u dziadków, gdy wysiedlono ich do Dobrego a potem do Stanisławowa.

Rywka, jej młodsza siostra, piastowała go i kochała. I uciekała z nim ze Stanisława jak, w tym samym czasie co my z Bućkiem, może nawet przez to samo pole. Ale tamten chłopiec był o dwa lata starszy od naszego i tyleż cięższy. Bez niego może zdołałaby uciec.



Młodszy brat Biumka, Abel, szedł do pociągu z jego żoną, Raszką, cioteczną siostrą mojego ojca, prowadząc za rękę ich starszą dziewczynkę, dokładnie w moim wieku, a Raszka niosła młodszą, dokładnie w wieku naszego Bućka. Gdy weszli na stację w Falenicy, Abel pociągnął za sobą swą bratanicę między wagony na bocznicy. Później wbiegli na jakieś podwórze. Było lato, a oni w najlepszych zimowych ubraniach, których nałożyli na siebie, ile się dało, więc dwie staruszki na tym podwórku zrozumiały co się dzieje i ukryły ich w piwnicy. Cały dzień trwała nagonka z psami, ale staruszki polały ścieżkę wodą i ładnie przysypały żółtym piaskiem, żeby psy nie trafiły. Przesiedzieli w piwnicy do nocy i poszli do Makówca, do Śliwy.

Biumka brat Nutek służył w wojsku na Pradze i spotkał tam Esterkę, która sprzedawała bułki na Brzeskiej. We wrześniu trafił do sowieckiej niewoli, ale po roku przeszedł z powrotem przez Bug. Wydostał Esterkę z warszawskiego getta przez pewnego Polaka i wzięli ślub u Arona i Fejgi w Rembertowie. Gdy zaszła w ciążę, Nutek chciał, żeby spędziła, ale się nie zgodziła. Esterce udało się uciec z dzieckiem. Utleniła włosy i pojechała do Warszawy, gdzie ktoś wystarał się dla niej o aryjskie papiery i znajomy Polak znalazł jej dozorstwo w Miłosnej.

Pewnego dnia u naszego gospodarza w Głęboczycy zjawili się Aron z Itką najmłodsza siostra ojca. Dowiedzieliśmy się wtedy — od gospodarza, który im nie powiedział, że u niego jesteśmy — że dziadek i babcia z Nowej Wsi nie chcieli uciekać na poniewierkę u obcych ludzi. Ojciec miał dla ich kryjówkę, ale dziadek z

niej nie skorzystał i poszedł z babcią i Majorkiem, ich upośledzonym umysłowo najstarszym synem, który też nie był w stanie się skryć. Dziadek był talmudystą i mówił, że ten świat istnieje na mocy umowy, w której postawiono kilka takich warunków i jeśli się ich nie dotrzyma…



To jego ostatnie zdjęcie, zrobione w Dobrem albo Stanisławowie. Przez Niemców albo na ich zamówienie. Ma gniewny wyraz twarzy. Był kohenem, kapłanem z urodzenia, a kohenowie to gniewni ludzie. Tu jest gniewny, bo nie ma nakrycia głowy, a to dla niego zniewaga. Na zdjęciu widać ślad spinacza, bo było spięte za zdjęciem babci w staromodnym białym czepku. Na odwrocie jest napis „Głowy" i data. Pewno przeznaczone były do kolekcji Nie wiem jak to się stało, że „głowa" mojej potulnej babci w bardzo staromodnym białym czepku odpięła się i zginęła bez śladu jak ona.

Nasz Buciek miał zupełnie nieżydowskie, jasne włosy i oczy i można było przyjąć go na przechowanie jako kogoś rodziny. Za wynagrodzeniem. Wysokim, bo był obrzezany. Urodził się w maju 1941, gdy nie było to jeszcze tak fatalnym piętnem, ale już wtedy, gdy zabierano go na obrzezanie, mama płakała. Gdy uciekliśmy ze Stanisławowa, zaniosła go do umówionych, zapłaconych ludzi. Trzymali go jakiś czas a później powiedzieli, że ktoś doniósł, że przyszli, sprawdzili, zabrali. Mama potem opowiadała, że Buciek bardzo się podobał tym, co go zabrali, że takie śliczne dziecko, że może go dla siebie zabrali...

Do wsi przyjechała Komisja Sanitarna z Dobrego. Jej sanitarnym zadaniem było oczyszczanie terenu z ukrywających się Żydów. Gospodarz chciał nas ukryć z Itką i Aronem w stodole, ale ojciec wolał żebyśmy nie byli razem i schowaliśmy się wysoko pod strzechą obory. Na dole było pełno łajna i krowy hałasowały, więc trudniej było do nas się dostać lub nas usłyszeć. Przez szpary widzieliśmy, jak zajechała na podwórze bryczka i od razu poszli do stodoły. Zabawili tam jakiś czas, po czym wyprowadzili Itkę. Miała źdźbła słomy w warkoczu i zaczerwienioną twarz.

– Znęcali się nad nią - mówiła potem mama.



Aron powiedział, że nie jest Żydem i że ma w izbie dokumenty. Poszedł przodem, wbiegł do środka, zatrzaskując za sobą drzwi i wyskoczył oknem po drugiej stronie. Strzelali za nim, gdy biegł przez pole, więc zrzucił buty, żeby szybciej biec i ani jedna kula go nie dogoniła. A Itkę zabrali i więcej jużeśmy jej nie widzieli.

Aron dobiegł wtedy do lasu, przeczekał do wieczora i poszedł boso do

Miłosnej, gdzie Esterka była dozorczynią. Nigdzie indziej nie mógł się pokazać bez butów. Gdy ktoś go mijał, wchodził w śnieg, żeby ukryć bose stopy i pogwizdywał, że niby lubi tak brodzić w śniegu. Esterka podała mu miednicę ze śniegiem, żeby stopniowo rozgrzewał nogi inaczej straciłby palce. Nogi miał dobre i mógł na nich polegać. Budził się w lesie, patrzył na nogi i pytał, gdzie mnie dziś poniesiecie? Czuł, że musi gdzieś iść. Brał bańkę mleka na plecy, osełkę masła w plecak i szedł do pociągu. Przyjeżdżał na Dworzec Wschodni ze źdźbłami słomy w ubraniu, żeby nikt nie miał wątpliwości, że jest wiejskim szmuglerem. Chodził cały dzień nic nie sprzedając. Wstępował do sklepów, zawierał znajomości, brał zamówienia, których nie zamierzał wykonać. Pod koniec dnia zachodził do domów, z których nikogo nie wyrzucano, gdy zbliżała się godzina policyjna. Żeby tylko przespać noc w ludzkim domu i znów przebyć dzień pośród ludzi. Miał zawsze czystą koszulę, a gęste, jasne kędziory – może za gęste i zbyt kędzierzawe – fantazyjnie wysuwał spod czapki, żeby wszyscy widzieli, jakim jest jasnym blondynem i nie opuszczał powiek, żeby widzieli jego jasne oczy, a nie jego duży, zgarbiony nos. Nie brakowało na Pradze bardzo samotnych kobiet, które chętnie go sadzały za stołem, częstowały i zagadywały, żeby nie zdążył na pociąg, a on pozwalał się zagadywać i przyjmował noclegi, ale do żadnej się nie zbliżał. Dziwiły się temu i jeszcze bardziej go zatrzymywały.

Po Głęboczycy nocowaliśmy w lesie. Pod świerkami, które szczelnie nas osłaniały. Raz przyśnił nam się człowiek w wojskowym szynelu i furażerce. Przez ramię miał przewieszone krzesło, do góry nogami. Później okazało się że była to broń z długim magazynkiem i cienką kolbą. Mówił coś rozciągając słowa, z których można było tylko zrozumieć, że „tate, mame, zajde…" Był to jeden rosyjskich jeńców, którzy zbiegli z wyszkowskiego obozu. Mówił, że w pobliżu nocuje żydowska rodzina – „tate, mame, zajde" – więc ojciec poszedł z nim zobaczyć, co oni za jedni. I wkrótce wrócił - bez butów, onuc, boso. Ściągnęli z niego także marynarkę i spodnie, ale miał pod spodem jeszcze jedne spodnie, które łaskawie mu zostawili.

Las nas osłaniał, lecz osłaniał również wszystko przed nami i dokoła nas. Z jednej strony idziemy, a z drugiej, na przykład, gajowy, do którego należy las. Drzewa, jagody i grzyby, skóry i mięso oraz pieniądze, których w lesie było wtedy więcej niż kiedykolwiek. Gajowy nie sieje, nie orze, tylko zakłada strzelbę na plecy i idzie do swojego lasu. Gajowy zna wszystkie miejsca, którymi się chodzi.

Wszystkie sarny i zające, które wychodzą prosto na niego.

- A to co? - pyta gajowy. – Spacery w biały dzień?...

- A tak tylko, złapać powietrza...

- Z dzieckiem? Się nie przeziębi?

- A nie, proszę pana, dziecko zahartowane…

- To dobrze - mówi z namysłem gajowy. Mówi i patrzy, gdy ja usiłuję schować głowę, przyciskając się do brzucha matki, a ojcu drżą ręce, którymi w żaden sposób nie może trafić do kieszeni.

- Eee, niech pan nie szuka - mówi gajowy. - Ja człowiek niechciwy, o cudze nie stoję...

Ręce ojca zatrzymują się, choć nie przestają drżeć.

- Pan gajowy to dobry człowiek - próbuje się uśmiechnąć matka, ale twarz jej zaczyna drżeć. - My tu, proszę pana gajowego, tylko po drodze, przejdziemy i pójdziemy dalej...

- Taaak... — mówi powoli gajowy. — Ja człowiek niechciwy. Mnie tam co Bóg da...

Ojciec spogląda na matkę i widząc w jej oczach niepokój, znów przesuwa rękę ku marynarce.

- Mnie niczego nie trzeba... - dodaje gajowy i ręka ojca znów się zatrzymuje. - Czasy takie, że jeśli człowiek wyniesie cało głowę, to już bogaty.

- To prawda... - na to ojciec całkiem zdezorientowany.

- Święta prawda - potwierdza matka.

- Kto by dziś dbał o pieniądze albo złoto, każdemu przede wszystkim życie miłe…

- To my już pójdziemy, panie gajowy? - mówi niepewnie ojciec.

- Powiedziałem, każdemu życie miłe... - ciągnie gajowy udając, że nie słyszy tego, co ojciec mówi. - Człowiek musi robić to, co mu każą - wzdycha. - Takie czasy...

- Ale przecież my, proszę pana, tylko przechodzimy... — ręce ojca biegną po ubraniu i wreszcie trafiają do kieszeni na jego piersi.

- Tylko dlatego, że po drodze... - dodaje matka.

- Z tak małym dzieckiem? - kwaśno się uśmiecha gajowy.

Ręce ojca biegają od jednej kieszeni do drugiej, wyjmują coś i podają.

- Niech pan weźmie to, panie gajowy...

- Prosimy, naprawdę...

- Na wypadek, gdyby broń Boże jakaś szkoda w lesie...

- Właśnie, człowiek nie patrzy, niechcący, nie zauważy...

- A wiecie wy, co czeka gajowego, jeżeli „nie zauważy”?

- Wiemy i rozumiemy i nie chcemy broń Boże przykrości dla pana gajowego. Dlatego zaraz pójdziemy.

- I nikt nie zobaczy, naprawdę. Pójdziemy od razu, nie zostaniemy.

- Tak, tak, nie traćmy czasu. Chodź, synku, powiedz do widzenia panu gajowemu.

- Kiedy nie mogę, kochani - gajowy potrząsa ręką, na którą ojciec kładzie mu różne rzeczy. - Bóg mi świadkiem, nie mogę.

- Zaklinamy pana na pańskie dzieci, niech pan weźmie to i sobie pójdziemy...

- Puściłbym, Bóg mi świadkiem, ale posterunek, niecałe dwa kilometry stąd...

- Ależ nikt nas nie zobaczy... I ten pierścionek też niech pan weźmie — mówi matka. - Z prawdziwym kamieniem…

- Na co też człowiek się naraża... — wzdycha gajowy. - Ale co zrobić, trzeba być człowiekiem... No, dobrze, nie płacz, kobieto. Prawdę mówiąc, to dziecka mi szkoda, pokaż się, mały!

- Nie, mamuniu, nie!... - zawołałem nie dając oderwać się od jej spódnicy.

- I niech mi tu więcej wasza noga nie postoi! - woła na odchodnym gajowy. - Bo drugi raz to i święty Boże nie pomoże!

Kryliśmy się pod rozłożystymi, iglastymi drzewami, przy pniu, gdzie było zacisznie i sucho. Niskie gałęzie sięgały ziemi, tworząc gęsty, cienisty parasol. Osypujące się, suche igły wplatały się we włosy i kłuły wpadając za kołnierz. Gdy zapadał zmierzch, ojciec żegnał się z nami, a mama przyciągała mnie do siebie bliżej i kazała być jeszcze bardziej cicho. Spoglądaliśmy w kierunku, w którym trzaskały, a potem jeszcze przez jakiś czas chwiały się gałęzie po jego odejściu.

Zostawaliśmy sami i nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy wróci. Ani czy w ogóle wróci. Mógł nie wrócić wcale. To zależało od tylu rzeczy. Gdyby go schwytali, gdyby spotkał, kogo nie trzeba. A może musiał się ukryć i czekać do późna w nocy? Musieliśmy siedzieć i czekać na niego, nigdzie się nie ruszać, żeby do nas trafił. A jeśli go już mają i teraz szukają nas w tym lesie? Czy ten trzask gałęzi i szelest to on? Czasem zawiśnie sobie pomiędzy ziemią a niebem mała, zeschnięta gałązka, nie wiadomo jakim sposobem i nie wiadomo po co, a potem również nie wiedzieć skąd i jak nagle trzaśnie lub spadnie tuż za plecami... W takich chwilach pierzchał nasz całodzienny głód, a jedynym naszym pragnieniem było, żeby ojciec jak najprędzej wrócił. Żeby nie przynosił ani zimnej zupy, ani mleka, żeby tylko wrócił i nigdy już nie odchodził. I po jakimś czasie ojciec wracał i przynosił garnek z zupą zgęstniałą od chłodu i sosnowych igieł, które powpadały do niej po drodze, gdy przekradał się z garnkiem wśród gęstych, iglastych krzaków, i które nadal podczas jedzenia wpadały, tak że musieliśmy, pomimo że byliśmy bardzo głodni, jeść naszą zupą ostrożnie, jak gdybyśmy jedli nie zupę, lecz rybę.

Wkradaliśmy na noc do stodół. Na noc i dzień, do następnej nocy. Czasem na dłużej za wiedzą gospodarza, żeby kolejnej nocy odejść i oddalić się o jeszcze kilka kilometrów. Tak było trudniej nas wytropić. Gdy trzeba było daleko iść, ojciec i matka mnie trzymali za ręce, z jednej strony ojciec, z drugiej matka. A gdy trzeba było się śpieszyć, ojciec brał mnie na plecy. Wystarczyło mi wtedy przylgnąć do nich, żeby natychmiast zasnąć. Mogliśmy tak chodzić, póki nie spadł śnieg, w którym łatwo nas było wytropić. ale zimą to nie było możliwe. Dlatego ojciec postarał się dla nas o miejsce na zimę w mieszkaniu, w tylnym pokoju, którego

zimą nie używano i nie ogrzewano. Z podwójnym łóżkiem małżeńskim, w którym mieściliśmy się we troje, dzień i noc pod pierzyną, bo w izbie był ziąb. Gospodyni przychodziła wieczorem z karbidową lampką i garnkiem parujących kartofli. To było jedyne nasze jedyne jedzenie, ale spaliśmy w łóżku jak ludzie i nie musieliśmy codziennie rozstawać się z ojcem.

Abel i Manes, bracia Biumka i Nutka, poszli do Podorewskiego, dziedzica z Piwek, gdy przycisnął ich głód. Piwki to była najlepsza ziemia a Podorewski był najbogatszym dziedzicem. I wykształconym, magistrem filozofii. Nie poszli po pieniądze ani kosztowności, które u niego zostawili, tylko po trochę kaszy, mąki, słoniny. Podorewski powiedział, że przygotuje wszystko, co potrzeba, ale niech się na razie schowają w piwnicy, żeby nikt ich nie zobaczył. Gdy zeszli do piwnicy Podorewski zamknął klapę nad ich głowami, postawił na niej ciężką skrzynię, usiadł na skrzyni i kazał zadzwonić na żandarmerię. Siedzieli w tej piwnicy do rana, bo Niemcy nie chcieli jeździć po nocy. Gdy Manes i Abel pukali w klapę, Podorewski im mówił, żeby siedzieli spokojnie, bo na razie jest niebezpiecznie wyjść. Siedzieli więc spokojnie i do ostatniej chwili nic nie wiedzieli. Tego im Podorewski oszczędził. Żydzi to były według niego upiory. Wychodziły nocą spod ziemi i skradały się pod oknami. Jak można m pomóc? Tylko przez skrócenie męki... Nie chodziło mu o pieniądze, które po nich zostaną. I tak był bogaty. Chociaż, jeśli miałyby dostać się Niemcom albo zupełnie przepaść...

Rano ludzie widzieli, jak do ciężarówki, którą powieziono Abla i Manesa, wsadzono również starego Żyda z jego małym wnuczkiem. Żyd zaczął prosił, żeby ich puścili, że nie o niego mu chodzi, ale o wnuczka. - Co my możemy poradzić, gdy wy, Żydzi, jesteście zapisani w czarnej książce Hitlera? - żartowali Niemcy. A zresztą jak możemy was puścić? Co by na to powiedzieli ci, co was wydali?

Po tym, co się stało z Ablem i Manesem, Aron powiedział, że muszą mieć broń. Słoń też był tego zdania, ale skąd ją wziąć?

- Trzeba iść do partyzantów - powiedział Aron.

- Do partyzantów? Nie dość, że jesteś Żydem, to chcesz jeszcze narażać się jako partyzant?

- Chcę mieć broń, żeby żaden skurwysyn nie mógł mnie zamknąć w pułapce jak mysz albo powlec na rzeź jak barana.

- To idź, szukaj partyzantów - powiedział Słoń.

Aron [poszedł, dowiedział się, znalazł. Obejrzeli go, zgodzili się, że jest zdatny na partyzanta, i umówili się z nim w nocy na skraju wsi. Poszedł, wziąwszy ciepłe ubranie, pieniądze i tej samej nocy wrócił - bez pieniędzy, bez ubrania, boso…

- No i co? - spytał Słoń.

- Partyzantów to oni już mają - odpowiedział Aron. - Brak im tylko ubrania, pieniędzy i broni.

Przyłączyli się do młodych ludzi, którzy uciekli z płonącego warszawskiego getta z bronią. Ich dowódcą był Olek, który niczego się nie bał. Wysoki, czarny, kudłaty, wyszedł z getta w niemieckim oficerskim mundurze. Stanął w tym mundurze na szosie i zatrzymał niemiecki samochód. Odebrali Niemcom broń, wyrzucili z samochodu i zagnali do lasu, żeby ściągnąć z nich ubrania i buty. W dzień spali lub grali w karty, w nocy chodzili na żer, Aron wskazywał im drogę.

Między Jadowem a Małkinią żyło dwóch gajowych, którzy byli szwagrami. Jeden z nich zajmował się łapaniem Żydów, wyskakujących z pociągu do Treblinki. Poszli do niego i zastrzelili go a drugiemu nic nie zrobili, bo ci z warszawskiego getta chcieli być sprawiedliwi. Tego dnia Olkowi karta nie szła. Gdy usłyszeli trzaskanie gałęzi, Aron wstał, żeby zobaczyć, ale Olek pchnął go z powrotem na ziemię: - Siedź! Uszedł zaledwie kilka kroków z parabellum w jednej ręce i wachlarzem kart w drugiej, gdy zza drzewa rozległo się: - Halt! Zwrócił się w tamtą stronę, a Niemiec z automatem zdumiał się widząc przed sobą okazałego niemieckiego oficera. Zdumiał się jeszcze bardziej, gdy Olek wpakował mu kulę, ale wtedy automat zza drugiego drzewa przejechał Olkowi przez plecy. Rzucili wszystkie niemieckie granaty, jakie mieli i przedarli się. Padło jeszcze dwóch: Antek i Genek. Aron uszedł z raną w kolanie.

Siedzieli u Sobótków i jedli kolację. Nagle weszło dwóch Niemców i ręce do góry! Byli zaskoczeni, bo Niemcy nie zjawiali się na wsi nocą. Jeden został przy drzwiach, a drugi oklepywał ich po brzuchu i udach. Aron miał parabelkę pod koszulą, ale z tyłu na plecach. Sobótkowa zapewniała Niemców, że to jej synowie, porządni chłopcy, których wszyscy znają. Niemcy usiedli i kazali podać sobie bimbru. Sobótkowa skwapliwie przyniosła z piwnicy dwie butelki i kawał słoniny.

Wypili i zażądali, żeby wszyscy napili się z nimi. Aron pierwszy sięgnął po szklankę.

Znów ktoś oskarżył. Niemcy nadjechali do lasu szosą od Łochowa w biały dzień. Słyszeli z daleka, że jadą, ale nie przypuszczali, że do nich. Zostali otoczeni ze wszystkich stron i padł ostatni ich dowódca, Ignac. Zginęły również Ałtka i Rywka Mechlówny z Dobrego oraz ich brat Szłojme, kuzyni mojej matki, a także Eli, najmłodszy brat Biumka i Nutka. Aron dostał ciężki postrzał w biodro i nie uszedłby, gdyby nie Słoń, który przetaszczył po wodzie do Piwek.

Biumek z córką, moją rówieśniczką, zimował w Makówcu u Śliwy, na kolonii z dala od wsi. Małą trzymali z początku w izbie ze swoimi dziećmi, bo tak wydawało się bezpieczniej. Ale ona nie chciała się bawić albo już nie umiała. Dzieci szturchały ją a nawet okładały, a ona nic, myślała, że tak musi być. Siedziała cicho na ławie pod ścianą i parobek, który wstąpił do Śliwy, zaczął jej się przyglądać.

- A czyje to, przecie nie wasze?

- A nie, od rodziny z miasta. Dali, żeby podchować, bo w mieście nie ma co jeść.

- A czemu takie niemrawe?

- Przybiedzone ... Skromne dziecko pewno się wstydzi.

- Ee, i tak jakoś patrzy... Chyba żydowskie...

Więc zabrano ją do drugiej izby zabitej deskami i siedziała tam z ojcem. Był to pokój gościnny, do którego nikt nie zaglądał zimą i gdzie nikogo nie przyjmowano, chyba że w czasie wesela, ale na wesele się nie zanosiło. Mieli też na wszelki wypadek kryjówkę w sztucznej ścianie za szafą. Było tam dość miejsca, żeby stać albo siedzieć, ale nie leżeć. Kiedyś przesiedzieli tam cały dzień, nie mogąc wyjść za potrzebą. Kryjówka miała jeszcze tę wadę, że wchodziło się do niej z pierwszej izby. Dlatego gdy przyszedł sołtys, nie mogli z niej skorzystać.

Przyszedł wieczorem. Gdyby w dzień, to by wiedzieli, że idzie i zdążyliby się schować. W dzień zawsze ktoś uważał na drogę, a Niemcy nie chodzili po nocach. Przyszedł wieczorem, wiedział, kiedy przyjść. Z z tym samym parobkiem, co powiedział, że to dziecko chyba żydowskie. Sołtys go zaprosił do siebie, podpili

sobie, wzięli w ręce kije i idą do Śliwy. A traf chciał, że w tym samym czasie szedł do Śliwy Słoń. Blondyn, bo albinos i mówił jak tutejszy, nikt by nie powiedział, że Żyd. Nie wiedział, że u Śliwy ukrywa się Biumek z dzieckiem, ale zaniepokoiło go to, że sołtys idzie tam z parobkiem i obaj z długimi sękatymi kijami, więc spytał dokąd idą.

- Do Śliwy, Żydów szukać.

- Żydów? To idę z wami - powiedział Słoń.

Przychodzą, a Słoń na cały głos:

- Niech będzie pochwalony, panie Śliwa, przyszliśmy do was Żydów szukać!

Śliwina spojrzała na niego niepewna kto tu zwariował, ona czy Słoń, a jednocześnie zmartwiała.

- Słyszeliśmy, że trzymacie Żydów - powiedział sołtys.

- Sołtys podpił sobie i żartuje - uśmiechnęła się Śliwina. - My, Żydów?...

Ale sołtys nie żartował i powiedział, że chce poszukać.

- A niech sołtys szuka - powiedziała Śliwina, choć miała ściśnięte gardło i czuła w kolanach watę. To, że był z nimi Słoń, dodało jej odwagi, więc podając sołtysowi klucz do drugiej izby, drugą ręką przekręciła obrotowy skobelek mało widoczny zza szafy, która stała tuż przy drzwiach.

Sołtys przekręcił klucz, ale drzwi się nie otworzyły. Przekręcił jeszcze raz, ale i tym razem nie puściły. Potem jeszcze dwa razy tam i z powrotem i również bez skutku.

- Tam ktoś jest i trzyma! - powiedział.

- Nikt nie trzyma - zaprzeczył Śliwa.

- Kto może trzymać, jak tam nikogo nie ma? - uśmiechnęła się Śliwina.

- A ja wam mówię, że tam ktoś jest! - powiedział sołtys, przykładając ucho do drzwi. - I słychać chrobotanie...

- Zdaje się sołtysowi, ja nic nie słyszę - powiedziała przyłożywszy ucho Śliwina.

- Ja też nie - powiedział uczyniwszy to samo Słoń.

- Wyraźnie słychać chrobotanie, sołtysie - powiedział przyłożywszy ucho parobek.

- Myszy albo kot - na to Śliwa.

- Chyba myszy... – powiedział Słoń patrząc na Śliwę.

- Tam musi ktoś trzymać, bo drzwi by puściły - upierał się sołtys.

- Nikt nie trzyma, sołtys pijany nie umie drzwi otworzyć...

W końcu sołtys zauważył wiszący nad drzwiami skobelek. Przekręcił go i otworzył drzwi. Otworzył na oścież i stanął w nich razem z parobkiem, a Śliwa i Słoń za ich plecami. Śliwina przywarła do ściany. Ale w gościnnej izbie nikogo nie było, przez jedno z wyrwanych okien wiał przenikliwy chłód i straszyły deski, które powyrywał Biumek.

My tak samo uciekliśmy od gospodarza, który trzymał nas w tylnej izbie. Też w nocy i też przez okno. Nie wiem, dlaczego, nie pytałem, mogło być wiele powodów. Biegliśmy przez puszyste, białe pola, zostawiając głęboki ślad. Nad białymi głowami drzew srebrzysty księżyc rozjaśniał skrzący się świat zimowych bajek, a mnie nogi się uginały i zapadały się w głęboki śnieg, z którego nie miałem siły ich wyciągać, zbyt krótkich ze zbyt głębokiego śniegu. Ojciec i matka wzięli mnie między siebie i wyciągali ze śniegu za ręce, więc bolały mnie ręce i nogi. Prosiłem, żeby się zatrzymali, bo nie mogę już iść, ale nie zwalniali kroku i ojciec zabronił mi płakać, bo mógł nas ktoś usłyszeć. Nie płakałem więc, tylko prosiłem, żeby mi pozwolili odpocząć, a oni, że nie wolno nam się zatrzymać i że musimy gdzieś zdążyć zanim skończy się noc. No to zatrzymajmy się tylko na chwilę - prosiłem. Nie można, bo jak się zatrzymamy, to zasnę. To dobrze, bo ja właśnie chcę spać, powiedziałem puszczając ich ręce i zapadłem się w śnieg. Ale tylko na moment zdążyłem się przytulić do śniegu, bo ojciec mnie zaraz poderwał i krzycząc mi coś do ucha, ciągnął mnie za ramiona. Groził, że jak nie będę szedł, to mnie zostawią i pójdą sami, a ja się wcale tego nie bałem. Dobrze, niech mnie zostawią, bo ja nie chcę już nigdzie iść. Wtedy mama zaczęła płakać i prosić, żebym szedł, bo oni nie mają już sił ciągnąć mnie ani nieść. No to niech mnie

zostawią na chwilę, a jak sobie odpocznę to zaraz pójdę za nimi, a najlepiej niech mnie zostawią i idą dalej sami... I nie słyszałem nic więcej ani nie widziałem. Nogi mi się zaplątały w śniegu, łzy zaszkliły mi oczy, więc je zamknąłem i zaraz mi się przyśniła miękka biała pościel, na której nie wolno mi było się położyć, bo ktoś biegł za mną, gonił mnie, krzyczał. Biegłem więc zapadając się w tę białą pościel i nie mogąc wyciągnąć z niej nóg i coraz bardziej mnie bolały ramiona, które przed siebie wyciągałem z ogromnym daremnym wysiłkiem, jaki się czuje we śnie.

Zbudziło mnie szczekanie psa i znana mi woń obory. Siedziałem z mamą pod bezlistnym, zimowym krzakiem oparty o jej kolana. Ojciec, jak zawsze w takich razach, skradał się w stronę zabudowań, a my czekaliśmy, aż ustanie szczekanie psa i dopiero wtedy ruszyliśmy za nim. Drzwi obory lekko skrzypnęły i ojciec wskazał mamie drabinę. Mama weszła pierwsza. Gdy się znalazła na górze, słychać było szum moszczonej słomy lub siana i wtedy ojciec podsadził mnie, a ona chwyciła mnie wyciągniętymi z ciemnej czeluści rękami. Wyglądało to nieswojo, ale wiedziałem, że te wyciągnięte po mnie ręce to mama.

Krowy się rozbudziły i zaczęły się niepokoić, ale ojciec je uciszył zwracając się do nich po imieniu. Bo je znał a i one, okazało się, jego znały. Bo były to jego własne krowy i stały na swoich dawnych miejscach w naszej oborze, a my znajdowaliśmy się prawie w naszym dawnym domu. Potem ojciec przytknął mi do ust wielką butelkę ciepłą od dopiero co wydojonego mleka, a ja piłem i zasypiałem. Kiedy zasypiałem, budził mnie i bardziej przechylał butelkę, aż nie nadążałem pić, zachłystywałem się i zasypiałem czując przyjemne ciepło cieknące mi po policzkach, uszach i szyi.

Byliśmy znowu u siebie i doiliśmy nasze własne krowy. Cały dzień słyszeliśmy koło zabudowań głosy dawnych znajomych, a nikt z nich nie wiedział, że jesteśmy tak blisko, że ich słyszymy, jakbyśmy znów byli wśród nich. Jakbyśmy byli duchami, które przychodzą na swe dawne miejsca, żeby się znów przyjrzeć tym miejscom i ludziom, wśród których kiedyś żyli, a tamci wcale nie wiedzą, że ktoś, kogo nie widzą, widzi ich i słyszy.

Następnej nocy ojciec zapukał do dworskich okien i dostał chleba i kaszy, ciepłą chustę dla mamy i dla mnie szalik, ale kazano nam przenieść się na dzień do spichrza, bo do obory ludzie wchodzą. Leżeliśmy więc w spichrzu między workami, słuchając nawoływań parobków, rżenia koni, ryczenia krów, skrzypienia

żurawia na majdanie i dzwonienia wiader jakby nic się nie stało. Nasz dom stał tam, gdzie przedtem i w dzień, i w nocy, ludzie nabierali wody przy pomocy skrzypiącego żurawia jak przedtem. Może więc chyba naprawdę nic takiego się jeszcze nie stało, myśleliśmy, i dodawało nam to otuchy.

Ziemianka dziadka i babci z Dobrego znajdowała się w lesie koło Biduli. Babcia na nasze przyjęcie ugotowała kaszę, którą przyniósł ojciec i polała mlekiem od naszych krów. Nie nosiła już peruki, jaka obowiązywała pobożne żydowskie mężatki, tylko zwyczajną chustkę szczelnie okrywającą jej głowę. Basia nie miała już warkoczy, tylko krótkie włosy jak Chańcia.

Ziemianka miała ściany starannie obsadzone palikami i była wymoszczona słomą i sianem i nie było w niej zimno ani mokro, ale zawsze ciemno. Spało się cały dzień i wychodziło na wierzch tylko w nocy. Nie było dnia tylko noc. Szebsl skarżył się, że coraz gorzej widzi. Dobrze było długo spać, żeby nie czuć, jak gryzą wszy. W nocy wychodziło się za potrzebą i wytrząsało je z koszul w ogień. Mama nie nadąża iskać mi głowy i płakała, że wszy są tak duże. Ojciec pocieszał ją, że jak przetrwamy zimę, to znajdzie znów jakieś ludzkie miejsce, a na razie nie możemy się ruszać, bo ta zima jest śnieżna i mroźna, więc łatwo nas wytropić po śladach i można zamarznąć w drodze.

Nusenowie wyskoczyli z pociągu, ale bez dzieci. Chcieli je wyrzucić najpierw, ale dzieci się bały, krzyczały, nie pozwalały się oderwać od matki, więc wyskoczyła pierwsza. Myślała, że dzieci łatwiej pójdą w ślad za nią, ale one widząc matkę wypadającą z pociągu, jeszcze bardziej się przeraziły i uczepiły się ojca. Ktoś jeszcze wyskoczył i rozległy się strzały. Ludzie krzyczeli, że zaraz wejdą Niemcy i wszystkich wymordują…. Nusen nie wiedział, co robić. Jego żona już była za oknem, pociąg przyśpieszał, a dzieci chwytały się kurczowo framug okna i nie pozwalały się wyrzucić. Ludzie krzyczeli, żeby wyskoczył, to dzieci łatwiej dadzą się wyrzucić, widząc, że są w wagonie same. Wszyscy krzyczeli, popychali go i nawet nie zauważył, jak wypadł z pociągu. Gdy oprzytomniał i podniósł się, pobiegł za pociągiem, którego już nie było widać. Potem zawrócił i kulejąc poszedł wzdłuż nasypu szukać swojej żony.

Złatka, też z Dobrego, wyskoczyła z z Nusenami i ukrywali się razem w piwnicy u gospodarza, do którego ich zaprowadziła. Mieli pieniądze i gdyby ich ten gospodarz nie przyjął, to znaleźliby innego. Gdy Złatce zabrakło pieniędzy,

wyrzucili ją w obawie, że gospodarz każe im za nią płacić. Poszła na drugą wieś do gospodarza, u którego jej ojciec zostawił na przechowanie kupony materiału ze swego sklepu. Ale tamten chłop powiedział, że owszem, kupony może jej oddać, nawet wszystkie, od razu, ale przechowywać jej nie będzie, bo za żadne pieniądze nie będzie narażał siebie, żony i dzieci. Złatka wzięła od niego dwa kupony i poszła z powrotem, licząc na to, że za te kupony będzie mogła zostać jeszcze jakiś czas z Nusenami. Idąc przez las natknęła się na zbiegłych jeńców, którzy ją zgwałcili i zabrali kupony.

Biumek wracał od Sadowskich. Spotkał ją w krzakach na skraju lasu i przyprowadził do swoich. Dawali jej jeść i spali z nią, była ich jedyną kobietą. Raz, gdy było wyjątkowo ciężko, zwrócili się do niej, żeby dała coś z tego, ukrył u ludzi jej ojciec, ale Złatka zrobiła się chytra i nie chciała nic dać. Wówczas Nutek, który wiedział, u kogo ojciec Złatki schował towary, napisał w jej imieniu karteczkę do tego gospodarza, że ona prosi, aby okazicielom karteczki a jej przyjaciołom, Nutkowi i Aronowi, wydać dwie sztuki dobrej, angielskiej wełny. Nutek i Aron poszli z tą karteczką, wzięli materiały i sprzedali po drodze za słoninę i kaszę. Tak sobie radzili, dopóki nie mieli broni.

Nutek dostał od Esterki aryjskie papiery i wynajął się za dróżnika koło Miłosnej. O aryjskich papierach zaczęli wtedy myśleć wszyscy, którzy mogli sobie na nie pozwolić. Chodziło nie tylko o pieniądze, ale i wygląd, i sposób mówienia. A nawet bez „wyglądu" można było z takimi papierami pojechać do Warszawy nocnym pociągiem, w którym nie zapalano świateł, i zamieszkać u umówionych ludzi w ustronnym mieszkaniu z wodą i ubikacją na miejscu. Było to nieodzowne, gdy ktoś w lesie podupadał na zdrowiu. Nawet jeśli ktoś nie miał pieniędzy na mieszkanie z ubikacją i wodą, a zwłaszcza gdy nie starczało na to wszystko odwagi, to i wtedy aryjskie papiery mogły się bardzo przydać na drogach pomiędzy lasem a wioską, do których trzeba było chodzić po chleb.

Słoń skomunikował się z nauczycielką z Dobrego, pośredniczyła w dostarczaniu aryjskich papierów za niewielką opłatą. Płaciło się, co kto mógł, na pokrycie kosztów i cele organizacyjne. Zapłacili wszyscy prócz Słonia, który nic nie miał. Słoń przyprowadził przed naszą ziemiankę fotografistę. Wtedy wyszliśmy na wierzch w biały dzień. Fotografista ustawił trójnóg na małej polance i rozpostarł białą płachtę, którą inni trzymali za rogi. Miał nawet wiadro z czystą wodą, bo

trzeba było umyć się i ogolić. Obiektyw wymierzony był w głąb lasu, ale las przesłonięto płachtą. Wszyscy stawali przed płachtą umyci, uczesani i, w miarę jak kto umiał, uśmiechnięci. Podczas gdy jedni stawali przed obiektywem, inni przytrzymywali za ich plecami białą płachtę, podnosząc ją lub opuszczając stosownie do wzrostu tego, kto był fotografowany, bo w żadnym wypadku nie mogło być widać za niczyimi plecami lasu. Fotografowali się nie tylko ci, co mieli otrzymać dokumenty - wszyscy. Tak chciał fotografista i wszyscy chcieli. Było to bardzo ważne i można było to poznać po twarzach, gdy stawali na tle białej płachty, po natężonym spojrzeniu, z jakim się wpatrywali w obiektyw. Jakby zdali sobie nagle sprawę, że chodzi o wszystko, co po nich zostanie — milcząca twarz na tle pustej białej płachty, zza której nie widać lasu.

Ojciec kazał zrobić dokumenty przede wszystkim dla mamy. Potem, ulegając jej, zgodził się na metrykę dla mnie. Mama chciała, żeby i dla siebie kazał zrobić dokumenty, ale jego zdaniem było to niedorzeczne. Nie dlatego, żeby miał taki „zły wygląd". Wyglądał całkiem „dobrze", pomimo gęstych i tak czarnych, że aż fioletowych włosów. Wyróżniał się jednak sposobem mówienia i bycia. Mówił jedynym w swoim rodzaju skrzyżowaniem mazowieckiej mowy („un" lub „łun" zamiast „on" plus mazurzenie) z żydowskim zaśpiewem i uproszczoną deklinacją. Innego sposobu mówienia po polsku nie znał ani nigdy przedtem nie potrzebował, bo i tak wszyscy go dobrze rozumieli. Był tylko mężczyzną, który wypełniał wynikające z tego faktu obowiązki. Nie oszczędzał się, zarabiał, zabiegał dla nas. Robił wszystko, co się opłacało. Sam doił nasze koszerne dwie krowy, żeby mleko było koszerne. Rąbał drzewo i nosił wodę. Na zimę gacił słomą nasze drewniane ściany i kopał kopce na kartofle, które na wiosnę sam sadził na wydzierżawionym małym zagonie. Nigdy nam nie było zimno i zawsze mieliśmy co jeść. Czasem wpadał w złość, a nawet wybuchał gniewem z jakiegoś małego powodu, ale miał do tego prawo, bo był dobrym mężem i ojcem i chodziło mu tylko o nas. O uznanie u obcych nie dbał. Po co? Przecież i tak o wszystkim decydowały pieniądze. Tylko o pieniądze zabiegał. Miał zamiar przenieść nas do Mińska i otworzyć tam sklep mleczarski. Mówił, patrzył i poruszał się jak chciał i jak mu było wygodnie. Nigdy nawet nie pomyślał, że mógłby to robić inaczej, a tym bardziej że mógłby tego potrzebować. Nie starał się być odważnym. I bez tego chodził, gdzie było potrzeba, wynajdywał dla nas kryjówki i przynosił jedzenie. Chodził po nie tyle razy, a przecież nigdy nie był pewny, czy wróci. Robił to samo i później, gdy

został bez nas. Robił to pomimo strachu. Może gdy został sam, był trochę mniej ostrożny? Może nie chciał już być?...

Z kenkarty spoglądał gładko uczesany. Miał zapadnięte jak zawsze policzki, może trochę bardziej niż zawsze, i nieme spojrzenie spod gęstych brwi. Ale do Warszawy, powiedział, nie pojedzie, bo nawet gdyby wyglądał jak dziedzic i mówił jak adwokat, to i tak nie umiałby udawać kogoś, kim nie jest, a jeśli miałby siedzieć w jakiejś norze, nasłuchiwać kroków na schodach i bez przerwy się bać, to woli pozostać tutaj, wśród drzew, gdzie czuje się bezpieczniej niż pośród ludzi.

Ojciec nie chciał mnie dać mamie do Warszawy.

- Zginiesz z nim - mówił. - Spytają go, coś zauważą, sprawdzą i zginiesz razem z nim. Sama łatwiej się uratujesz.

- A po co mam ratować się sama? - odpowiedziała mama. - I co ja bym z tego miała, gdybym sama się uratowała?

- On tutaj się łatwiej uchowa. Zawsze ktoś tu się uchowa.

- Nie zostawię go tutaj.

- Dlaczego?

- Bo tu wszy go zjedzą.

- Będę go karmił, nie martw się. Jeśli wolisz, to oddam go do chłopa, tam będzie mu lepiej.

Mama pojechała sama, żeby się rozejrzeć, a mnie ojciec oddał do chłopa. Żona tego chłopa miała suchoty i była niezmiernie chuda. Nigdy nie wstawała z łóżka i czekała jak zbawienia wiosny, kiedy suchotnicy umierają. Kazała mi siadać przy łóżku, żeby wygodniej jej było na mnie patrzeć.

- Popatrz, jaka ja jestem chuda - mówiła, wyciągając spod pierzyny swoją żywą jeszcze piszczel, żeby mnie przekonać. - Bo ja mam suchoty i niedługo umrę, ale ty... Przecież ty nie masz suchot... - i przypatrywała mi się dziwnym wzrokiem.

Gospodarz kazał mi pić bimber. Jeszcze ciepły, w czasie produkcji, żeby wypróbować, czy działa… Działał, bo zasypiałem lub wymiotowałem. Dzieci nie mieli i tylko we byliśmy w domu.

Minęła zima i znów ruszyły na wieś komisje. Gospodarz wyprowadził mnie raz na pole i kazał tam leżeć aż komisja przejedzie, a gdyby ktoś pytał, nie wolno mi było powiedzieć, że mieszkam u niego, tylko tak sobie odpoczywam na polu. Komisja tym razem gdzieś z boku. Następnym razem wyprowadził mnie na drugą wieś i namawiał, żebym tam został, że ludzie tu są dobrzy, jeden da mi jeść drugi przenocować i będę tak sobie żył. Ale ja nie chciałem na tej wsi zostać, więc zaprowadził mnie na jeszcze jedną, ale i tam nie chciałem zostać. Wobec tego schował mi się w lesie i długo go biegałem w koło zanim go dostrzegłem za drzewem. I wtedy nagle wieczorem przyszedł Aron, żeby mnie zobaczyć, więc wszystko mu na ucho powiedziałem i zaraz zabrał mnie z powrotem do ziemianki.

W ziemiance było ciemno i widziałem tylko babcię, która mnie karmiła i tuliła do siebie dzień i noc. Nawet przy nośnym ogniu nikogo nie poznawałem i nie obchodziło mnie, kto tam był. Nie wiedziałem, że dziadka już nie było. Że trafili do tej ziemianki zbiegowie z obozu jenieckiego - może ci sami co przedtem ściągnęli z ojca ubranie i buty - i zgwałcili Basię, że wołała pomocy i dziadek pobiegł na pomoc i jeden z tych gwałcicieli strzelił do niego z odległości wyciągniętej ręki. Nikt o tym nie powiedział ani mnie, ani mamie.

Pewnego rana Aron przyszedł z jakąś młodą panią, która mówiła na niego Janek. Babcia mnie umyła, ubrała w palto z fokowym kołnierzem i pilotkę z fokowym przybraniem i kazała mi wyjść z tego grobu. Szedłem do Arona i tamtej pani, nie oglądając się, gdy nagle usłyszałem:

- No co, nie pożegnasz się ze mną, synku?

Ojciec u wyjścia z ziemianki. Nieogolony, potargany, kawałek białej koszuli wystawał mu z rozporka. Zawróciłem, objął mnie za szyję.

- Jak pan wygląda? – zawstydziła go tamta pani.

Pewnej niedzieli rano - wiedzieli, że niedziela, bo, słychać było dzwony - Chańcia, Basia i Szebsl wyszli na wierzch w biały dzień, że nazbierać chrustu. Wychodzili po chrust w niedzielę, bo myśleli, że bezpieczniej, gdy wszyscy w kościele, a tym razem wpadli w obławę. Strzały słychać było aż w Dobre, Ludzie wychodzili z kościoła posłuchać jak „Jankielków" strzelają. Bo dziadek miał na imię Jankiel i ich wszystkich nazywali „Jankielkami". - Nase to zrobili, nase – powiedział później jeden ze świadków. W niedzielę, gdy mieli czas. Teraz wiem, że nie było

koszmarnej egzekucji rodzinnej, jaką sobie wyobraziłem i wiarygodnie opisałem w oryginale, im jakich było wiele. Że wystrzelano ich jak zwierzynę na polowaniu. Że nie znęcano się. nie prowadzono na postronku jak do rzeźni, nie ustawiano nad dołem, że to krótko trwało. Że mieli szczęście zginąć jak leśne zwierzęta a nie jak ludzie. I że nie uciekali do ziemianki, gdzie babcia siedziała i wszystko słyszała, tylko w przeciwną stronę, więc przeciwnie, obława ją ominęła ziemiankę. Babcia nie chciała Nie chciała wyjść, gdy ojciec i Aron przyszli po nią. Przynosili jej tam jedzenie, ale nie chciała jeść. I pewno ojciec ją pochował.

Przyłączył się potem do Arona, Słonia i innych samotnych mężczyzn, którym nie udało się uratować rodzin. Posługiwali się w potrzebie bronią. Ojciec nigdy wziął do ręki. Chodzili jako partyzanci po żywność i odzież do bogatszych gospodarstw i dworów. Ojciec zaklinał ich, żeby nie do naszego dziedzica, lecz pewnego razu poszli - Aron, Słoń i dwóch Rosjan - nic ojcu o tym nie mówiąc. Jednego Rosjanina zostawili na zewnątrz na straży. Otworzył im Karol, dorastający brat dziedziczki. Kazali otworzyć komorę. Aron pilnował Karola, który rzeczywiście w pewnej chwili skoczył do sznura alarmowego. Aron podstawił mu nogę, a gdy upadł przytrzymał go na podłodze. Zabrali kosz jaj, parę osełek masła, czterdzieści butelek wódki i giemzowe buty z cholewami, które Aron zaraz założył, chociaż były na niego za ciasne. W drodze musiał je ściągnąć, bo daleko by w nich nie zaszedł, a że swoje stare zostawił we dworze, jeszcze raz został boso. Gdy ojciec usłyszał co zrobili, pokłócił się z nimi i odszedł. Nie wiedzieli, gdzie potem spał i jak sobie radził. A było mu teraz trudniej, bo przychodził po coś do dziedzica, to dziedzic mówił, że nie ma, bo partyzanci zabrali.

Dochodziło również do sporów ze zbiegłymi jeńcami, którzy mieli swojego przywódcę i własne plany. Pewnej nocy przynieśli ze wsi bimbru i wyprawili pijatykę, a gdy nasi posnęli, oderżnęli im broń i odeszli. Coraz bardziej grasowali aż w końcu Niemcy urządzili obławę. Rosjan nie znaleźli, tylko bezbronną grupę Arona i Słonia. Było to w biały dzień. Leżeli w krzakach, gdy Niemcy zaczęli wychodzić zza drzew. Poderwali się, ale za późno. Niemcy strzelali zza wszystkich drzew, więc pobiegli w stronę polany. A na polanie czekał karabin maszynowy. Uratowali się tylko Aron i Słoń, którzy pobiegli w głąb lasu. Aron z postrzałem przez plecy. Gdy wydostali się z okrążenia, Słoń mu pomógł wleźć na drzewo i przesiedzieli na nim do nocy.

Biumek z dzieckiem ukrywał się u Sadowskich, a Eli, jego szesnastoletni brat, u Śliwy pod dachem obory. Gdy przyszło lato dach się nagrzewał, więc Eli przychodził w nocy do Sadowskich, skarżąc się, że mu duszno i że nie ma z kim rozmawiać. Prosił Biumka, żeby zaprowadził go do lasu, do partyzantów. Biumek zabronił mu o tym myśleć i zakazał mu się ruszać od Śliwy. Eli poszedł więc do lasu sam i trafił do partyzantów - dwa dni przed tą ostatnią obławą.

Ojciec przeżył jeszcze jedną jesień i zimę. Gdyby przetrwał jeszcze cztery miesiące, to by wygrał. Raz spotkali go w nocy akowcy. Żyd? Co z nim zrobić? Ale był wśród jeden z Sadowskich, który poznał go, więc go puścili. Był zarośnięty, wychudzony, cuchnął błotem. Ile czasu się nie mył? Czy pamiętał, że jest człowiekiem? Nie mógł i nigdy nie starał się przezwyciężyć wrodzonego lęku i wstrętu do broni. Czuł odrazę do pogańskiego zapału do decydowania o życiu i śmierci. Gdyby nie to, może nie zginąłby od bandyckiej siekiery.

Dwóch czekał na niego w ostatnią z tych nocy, gdy wlókł się samotnie jedną ze swoich ścieżek, ściskając pod kapotą butelkę mleka. Chodziło o pieniądze. Zdziwił się. Jakie pieniądze? I nagle sobie przypomniał te wszystkie pieniądze, które całe swoje życie zbierał na czarną godzinę. Na okup. A cóż innego mógł robić? Zbierał je, schylał się po nie, niemal padał na twarz. Jego plecy zawsze sprawiały wrażenie, jakby się obawiał ciosu w głowę.

A więc miał rację, że tak wytrwale zbierał pieniądze. Dostawał za nie mleko i chleb, który niósł pod kapotą. Na pieniądze, okazuje się, można liczyć. One świadczą, że się jest człowiekiem, pomyślał. A jeśli się zostaje za nie zabitym, to nie jak zwierzę! Za pieniądze - jak człowiek...

Nie, niezupełnie, bo rano leżał w gliniance koło Radoszyny zupełnie nagi. Nie jak człowiek, lecz zwierzę żywcem odarte ze skóry. A obok butelka po rozlanym mleku... Rano dzieci szły tędy do szkoły, to pani dziedziczka, ich nauczycielka kazała go czymś przykry, więc ktoś rzucił na niego szmatę i chudy, skrwawiony z tą przepaską na biodrach leżał jak zdjęty z krzyża.

Śliwy opowiadał, że sąsiedzi słyszeli „proszenie". O życie prosił a nie o śmierć, jak kłamał jeden morderca. Prosił, bo życie jest ważniejsze niż godność. Bo godność można odzyskać, a życia nie. Prosił ludzkiej litości, której nie znali.

Sumienie, którego nie mieli. Sąsiedzi słyszeli, ale nie pobiegli mu pomóc. Dlaczego? Wiadomo i nie wiadomo. Jedni mu zarzucali mu, że za bardzo wierzył w pieniądze. Drudzy, że nie przezwyciężył wrodzonego wstrętu do broni. Może gdyby nie to, nie zginąłby od ohydnej, bandyckiej siekiery.

Może zginąłby dużo wcześniej.

Część druga
MATKA

Szliśmy przez Pustelnik jak młoda rodzina i nikt by nie pomyślał, że wyciągnięto mnie z lasu. Ale też nie wyglądałem jak dziecko z okolicy, a mieliśmy sporo kilometrów do stacji i musieliśmy przejść przez most, na którym stał żandarm. Przy moście znajdował się młyn, a z młyna wyszedł młynarczyk, który zaraz Arona poznał, ale Aron nam nic nie powiedział, więc spokojnie przeszliśmy, nie wiedząc, że most chwiał się Aronowi pod nogami.

W nocy podeszliśmy do zaciemnionej stacji i wsiedliśmy do ciemnego, zatłoczonego pociągu, w którym ludzie odzywali się do nas, a my odpowiadaliśmy ośmieleni tym, że ani oni nas, ani my ich nie widzimy. Zajechaliśmy, gdy było już jasno - zakurzony, dworcowy poranek. Tamta pani zaraz zniknęła. Aron wprowadził mnie do małej cukierni i zamówił dla mnie kakao i rogalik, bo - ku mojemu zdziwieniu - wszystko to jeszcze istniało.

Mama wbiegła w lekkim płaszczyku, którego nigdy przedtem nie widziałem. Miała rude włosy jak nigdy przedtem i kapelusz z woalką na oczy. Nie poznałem jej i nie miałem odwagi ją objąć za szyję, a gdy wreszcie to zrobiłem, ona nagle się ode mnie odsunęła. Potem wzięła mnie za rękę i wyszliśmy na piękne, brukowane ulice, wypełnione dzwonkami tramwajów i ludźmi, którzy szli za nami i naprzeciwko nas, nie zwracając na nas uwagi.

- Nie opuszczaj głowy – strofowała mnie mama.

- Czy tu wszędzie mieszkają ludzie? - spytałem wskazując spiętrzone okna wysokich, kamiennych domów.
- Tak.
- To tak dużo ludzi?
- Tak, bardzo dużo. Nie stawiaj stóp do siebie…

Bardzo mnie zdziwiło, że na świecie było jeszcze tyle ludzi. Od czasu, gdy przestało istnieć nasze miasteczko, myślałem, że zostały tylko wsie, pola i lasy, gdzie spotykało się ludzi tylko w wyjątkowych okolicznościach, a tu było ich tyle naraz i nie potrzeba było się ich bać... Mama szła obok mnie i lekko się uśmiechała. Ale takim uśmiechem, jaki pamiętałem z czasów, gdy chodziło się w gości. Zatem jesteśmy tu gośćmi - myślałem.

Gdy tylko weszliśmy do mieszkania, gdzie na szczęście nikogo nie było, mama rozpaliła ogień, zagrzała kocioł z wodą i wstawiła mnie do balii. Głowę polała mi naftą, bo wszy miałem więcej niż włosów i dlatego tak się przestraszyła, gdy w cukierni do niej się przytuliłem. Wrzuciła do kotła i ugotowała część mojego ubrania a resztą wrzuciła w ogień.

Ubikację i wodę mieliśmy na miejscu, co na wsi się nie zdarzało. Znaczyło to, że mogliśmy nie wychodzić z domu lub bardzo rzadko się pokazywać. Mieszkać, myć
się, załatwiać i żeby nikt o tym nie wiedział. Ale pani Hanka, u której zamieszkaliśmy, uważała, że nie trzeba się kryć i unikać ludzi. Że trzeba chodzić, patrzeć i mówić bez lęku, żeby żadne podejrzenie nikomu nie przyszło do głowy. Mama się z nią w zupełności zgadzała.

Mama znała panią Hankę z Dobrego i chodziła razem z nią do seminarium nauczycielskiego w Radzyminie. Mama miała tam dziadka, który był właścicielem tartaku i żył długo i szczęśliwie. Tak długo, że doczekał się mnie, swojego prawnuka, i tak szczęśliwie, że zdążył umrzeć zanim się to wszystko zaczęło... Mama nie skończyła seminarium. Upomniało się o nią Dobre, miasteczko do końca wierne swojemu Bogu i tradycji pokoleń. A nade wszystko nie mogło się zgodzić, żeby dziewczyna z porządnej chasydzkiej rodziny, do tego piękna jak mama, wyrosła na nie-Żydówkę wśród nieżydowskich koleżanek i może jeszcze chodziła na spacery z nieżydowskimi chłopcami. Czy pani Hanka nie wiedziała, że jestem obrzezany? Czy o tym zapomniała? A może od początku była przeciwko

temu, żeby mnie mama kazała przywieźć? Może z początku się zgodziła, a później straciła odwagę?

Pan Kamil, przyjaciel pani Hanki, uczył mnie pacierza: Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi. Oraz: Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego... I jeszcze: Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywiódł z ziemi egipskiej, domu niewoli... Powtarzałem to za panem Kamilem, a ponieważ pan Kamil był Czechem, byłem przekonany, że to po czesku.

Pewnego razu wracając z dworu zapukałem do drzwi jak kazało dobre wychowanie, ale gdy wszedłem, ujrzałem gniewną twarz pani Hanki.

- Widzisz, jak on puka?! - powiedziała do mamy.

Nie zrozumiałem, o co chodzi.

- Pukasz jak dziad - powiedziała mama, ale miało to znaczyć, że jak Żyd, za cicho i za lękliwie.

Pukać należało krótko i energicznie. Bolały mnie od tego kostki palców, ale starałem się pomimo bólu.

Piliśmy herbatę z mdłą sacharyną. Smarowaliśmy chleb miękkim, śmierdzącym serem albo mdłymi powidłami z marchwi, buraków i nie wiadomo czego albo margaryną bez smaku. Jadłem wszystko co mi kazano, tylko do śmierdzącego sera nie mogłem się przyzwyczaić. Nauczyłem się cienko obierać kartofle, po które chodziłem na pobliski rynek, wzbudzając uznanie handlarek.

- A czyj ty jesteś? - pytały.
- Ojca i matki.
- Zuch chłopak!

Przed Wielkanocą pojawiły na wystawach baranki z cukru, często z chorągiewką. Nie mogłem się napatrzyć.

- Kup mi takiego baranka –prosiłem mamę.
- Ja ci wolę za te pieniądze kupić jabłko – odpowiadała. Którego też mi nie kupowała. I dobrze, bo nie lubiłem jabłek. W ogóle mogłem nie jeść. Jadłem, bo mi kazała. Robiłem wszystko co mi kazała, bo wiedziałem, że tak trzeba, że od tego wszystko zależy.

Najwięcej czasu spędzałem na ostrzeniu igieł. Bo naszym głównym zajęciem było robienie pantofli. Trzy grube konopne sznurki splatało się w

warkocz. Warkocz ten zwijało się tak że miał kształt podeszwy i przeszywało się dratwą. Dratwa musiała być mocna. Skręcało się ją ze złożonych wielokrotnie nici i smarowało woskiem. To też robiłem, ale ważniejsze było ostrzenie igieł, bo spleciony konopny sznur był twardy i gdy się zrobiło jedną podeszwę, igła była zupełnie tępa. Więc gdy jedne igły były w robocie, drugie trzeba było ostrzyć na zwilżonej śliną osełce i podawać te naostrzone, a odbierać tępe.

Pantofle były na drewnianych koturnach, które kupowało się w sklepie i obciągało kolorowym płótnem. Brandzle wycinał pan Kamil z kartonu. Między kartonowy brandzel a konopną podeszwę wklejało się kolorowe, bawełniane tasiemki w kombinacji po dwa albo trzy kolory. Robienie kleju, to znaczy mieszanie kasztanowej mąki z wodą, też było moim zadaniem.

Były naprawdę ładne. Nosiły je eleganckie panie z czerwonym pedicure'em. Kolorowe tasiemki zgrabnie opinały im stopy, a wysoki obcas wyciskał lekką różowość na piętach. Stąpały lekko i niegłośno na naszych dyskretnych, konopnych podeszwach. Nosiła je i pani Hanka, i mama. Obie ładnie wyglądały w tych kolorowych pantoflach i sukienkach tylko do kolan podczas niedzielnego spaceru.

Na spacerze szedłem z przodu a mama i panią Hanką szli za moimi plecami. Takie było polecenie pani Hanki. Było to o nieprzyjemne, że nie zawsze wiedziałem, którędy iść, i musiałem się ciągle oglądać za siebie, żeby się upewnić, że mama i pani Hanka za mną idą. Ale wtedy pani Hanka zwracała uwagę mamie, a mama mówiła: - Nie oglądaj się! Czasem przystawałem nagle, żeby przynajmniej na chwilę chwycić mamę za rękę. Zupełnie nie rozumiałem, dlaczego miałem zawsze iść z przodu. Wolałem te niedziele, kiedy pani Hanka szła z panem Kamilem w gości, a ja do kościoła tylko z mamą.

Mama wolała jeździć tramwajem niż chodzić ulicami i starała się, żebyśmy jechali w pierwszym wagonie, z Niemcami. Mamie było ładnie z jasnymi włosami, które po kilkakrotnym utlenieniu przestały być rude, i w kapeluszu z czarną woalką żałoby. Nie wolno było jeździć przednim wagonem, jeśli się nie było Niemcem, ale mama była zawsze blisko pierwszego wagonu i zawsze ktoś z tych ludzi w mundurach pomagał jej wsiąść. Mama mówiła, że nie jest Niemką i może nie ma prawa, ale Niemiec odpowiadał, że z nim to może. Mama uprzejmie dziękowała, a Niemiec na to, że cała przyjemność po jego stronie... Gdy brakowało miejsc siedzących Niemcy ustępowali jej swojego miejsca, była bardzo zadowolona, gdy brali mnie na kolana i starała się, żeby

każdy mnie widział na niemieckich kolanach. Wyjaśniała, że bardzo lubię mundury, bo mój ojciec też jest wojskowym, oficerem, obecnie w niemieckiej niewoli i choć byłem jeszcze bardzo mały, gdy poszedł na wojnę, to mundur jego pamiętałem. Niemcy wyrażali jej współczucie, niektórzy mieli synków, których dawno nie widzieli, i właśnie takich jak ja...

W Wielkanoc mama pojechała ze mną do katedry po drugiej stronie Wisły pokazać mi grób Pana Jezusa. Ale oglądaliśmy wielki, dymiący pożar, który trwał już od kilku dni. Dym i łunę można było dostrzec nawet z Pragi, ale mama chciała, żebyśmy widzieli to z bliska.

- Patrz i pamiętaj! - szeptała mi do ucha. - Tam byli nasi wujkowie, ciotki, kuzyni, małe dzieci jak ty. Było ich bardzo dużo... Nie chciałbyś tam być...
- Nie.
- To zapamiętaj, że nikt nigdy się nie może dowiedzieć, że jesteś Żydem.
- Nigdy?
- Być może, nigdy...

Chodziłem z podniesioną głową i nie stawiałem stóp do siebie. Patrzyłem ludziom w oczy. Byłem dzieckiem i nie sprawiało mi to trudności. Ale gdybym był starszy? Jak ona? Ci co nie umieli ginęli. Mówiło się, że mieli „żydowskie" oczy. Jak ona to robiła, że mogła? Bo była matką i czuła to, co się przypisuje mężczyznom, a co czuje kobieta, gdy zostaje matką. Że robi swoje, to co najważniejsze i co naprawdę ma do zrobienia. Nic nie jest wtedy w stanie zmusić jej do ustąpienia, choćby nie wiem co miał przeciwko niej cały świat ze swym histerycznym straszeniem śmiercią. Dlaczego tej siły nie biorą pod uwagę wojskowi ani cywilni w swoich planach? Tej siły matek?

Pewnego razu, idąc z przodu nie skręciłem, gdzie trzeba tylko poszedłem prosto. Gdy się obejrzałem, nie było za mną mamy ani pani Hanki, tylko obcy ludzie, z tyłu i z przodu, ze wszech stron. Puściłem się biegiem z powrotem i biegałem w kółko, nie wiedząc, gdzie biec. Biegałem we wszystkie strony, starając się nie płakać, bo zauważyłem, że ludzie przystają i zaczynają mi się przyglądać. Oślepiało mnie słońce i ogłuszał tupot nóg, wśród których się plątałem na trotuarze. Gardło miałem ściśnięte od wstrzymywanego płaczu. Chciałem przywołać mamę, ale nie było mi wolno, bo oni tylko na to czekali!

Kto? Tego nie wiedziałem, ale wiedziałem, że byli wokół. Bo oni byli wszędzie! W tym tupocie nóg po chodniku.

Słyszałem o dzieciach porzuconych na ulicy. Zdradzonych i porzuconych. Często się to zdarzało i coraz częściej o tym mówiono. Czy pani Hanka, która kazała mi chodzić z przodu na wypadek łapanki, chciała, żebym się zgubił? Mówiła do mamy, oddaj go gdzieś, odeślij z powrotem, zrób z nim coś, bo zginiesz i wszyscy przez niego zginiemy, tyle już było wypadków przez dzieci. Kiedy to jest mądre dziecko i posłuszne, tłumaczyła się mama. Ale tylko dziecko! Zapomni się, a przecież jest chłopcem... Narażasz siebie i innych. Sama możesz przeżyć, samej ci tyle nie grozi i możesz zostać u mnie, jak długo zechcesz... Tak do niej mówiła. Mama nie chciała się zgodzić, więc ona urządziła to chodzenie z przodu, bo jestem obrzezany. Jestem obrzezany, o tym myślałem, biegając z rozpaczą w sercu w niedzielnym tłumie ludzi, którzy nie powinni o tym wiedzieć. Nie powinni i pewno by nie chcieli... - myślałem, natykając się raz po raz na ich spojrzenia. Bo co by wtedy zrobili? Nic, tylko by patrzyli. Musieliby przystanąć i patrzeć, a więc wziąć w tym udział. A mało kto chciałby brać udział w czymś takim...

Gdybym tylko zapłakał, zaraz ktoś by się zainteresował, spytał, gdzie moja mama, a gdybym odpowiedział, że nie wiem, zaprowadziłby mnie na posterunek i ludzie by mówili, że znów złapano żydowskiego dzieciaka... I zaraz by uznali, że mam za ciemne włosy, za bardzo odstające uszy, za wysokie plecy... A na posterunku by się przekonali o wszystkim. Dlatego nie wolno mi było płakać ani wołać mamy. Zgubiłem się, ale nie wolno mi było nawet jej szukać. Dlatego gdy jakiś pan w kapeluszu przyjrzał mi się i spytał, gdzie moja mama, powiedziałem, że w domu.

- A dlaczego tu jesteś sam? - spytał.
- Wracam do domu, tylko nie mogę trafić.
- A dlaczego tak się tak boisz?
- Bo mama będzie się na mnie gniewała, że tak długo nie wracam.
- A tatusia nie masz?

– Mam, ale jest w niemieckiej niewoli. – -

A pamiętasz swój adres?

- Nie, ale trafię, jeśli mnie pan doprowadzi do placu, gdzie sprzedają kartofle.

I ten pan doprowadził mnie do placyku, gdzie kupowałem kartofle i kości na zupę. Pytał jeszcze, czy ma pewno trafię, czy nie lepiej, żeby mnie doprowadził do samego domu i zobaczył się z moją mamą? Odpowiedziałem, że sam trafię sam i muszę już biec, bo mama będzie się bardzo gniewała, że mnie nie ma... I pobiegłem prędko, jak tylko mogłem, skręciłem za róg i schowałem się do bramy.

Gdy wróciłem Pan Kamil zamknął mnie w szafie, żeby nastraszyć mamę za to, że mnie zgubiła. Ale nie musiał jej straszyć, bo przybiegła zrozpaczona. Klęczała na obu na kolana i łkała, gdy pan Kamil wyprowadził mnie z szafy.

Wkrótce potem musieliśmy odejść. Było to późnym popołudniem, pani Hanki ani pana Kamila nie było w domu. Przyszedł ktoś nieznajomy i kazał nam natychmiast iść.

- Ależ, dlaczego? - zdziwiła się mama. - Czy zrobiłam coś złego?...
- Pani dobrze wie, dlaczego. Niech pani zabiera dziecko i idzie, póki czas! Ja pani dobrze radzę…

Więc jak tylko tamten ktoś poszedł, mama wzięła małą walizką i mnie za rękę i wyszliśmy. Siąpił ciepły majowy deszcz, więc było jeszcze ciemniej niż powinno być o tej godzinie. Wsiedliśmy w tramwaj i pojechaliśmy, nie wiedząc, gdzie. W jeden a potem drugi i jeździliśmy. Nie mieliśmy gdzie jechać, więc jeździliśmy tam i z powrotem. Nie siedzieliśmy w wagonie dla Niemców, a ja nie na niemieckich kolanach, tylko na ławce obok mamy, która patrzyła przez okno. Patrzyła w okno tak za każdym razem, gdy jechaliśmy przez żelazny most ze wielkimi czarnymi pałąkami z obu stron. Bo jeździliśmy z jednego brzegu Wisły na drugi, a niebo coraz bardziej ciemniało kurczyło i zbliżała się godzina policyjna. W końcu mama powiedziała, że chyba pójdziemy do Wisły. Ale ja nie chciałem. Bałem się pustki wokół nas i zimnej wody, i prosiłem, żebyśmy pojechali jeszcze jednym tramwajem.

Wysiedliśmy, gdy już się ściemniało. W pobliżu Wisły stał nieduży, malowniczy kościół, więc wstąpiliśmy. W kościele był półmrok i nikogo prócz nas. Mama przyklękła przed ołtarzem a ja przy niej i widziałem, jak się modliła. Nie słyszałem, ale poruszała ustami z piąstką przy piersi jak robiły to eleganckie panie. Nie widziałem jej oczu, bo były przesłonięte woalką, tylko usta. Wtem przypomniałem sobie, że na Grochowie mieszka pani Taborowa.

- Pani Taborowa? – zdziwiła się mama.

- Tak, przyjeżdżała do nas po masło i śmietanę…

Mama pamiętała, że mieli dozorstwo i że na Nowomińskiej, a Nowomińska na szczęście była na bliskim Grochowie, bo inaczej nie zdążylibyśmy przed godziną policyjną. Nie wiedziała pod którym numerem, ale dozorcy się wzajemnie znali. Nowomińska zaczynała się od rogu Grochowskiej. Zapytaliśmy w pierwszym budynku i powiedziano nam, że pod piątym na parterze. Mama zapukała

- Kto to?
- Swój, swój, pani Taborowa, z Radoszy…

Pani Taborowa otwiera i zatyka sobie usta dłonią.

- O Matko święta! Co ty, dziecko, tu robisz? Wchodź, tylko prędko - i rozgląda się w obie strony.

Weszliśmy a mama w płacz. Ale taki, że nie słychać i nawet nie widać, bo bez łez, tylko cały w gardle, że można się udusić.

- Siadaj, dziecko, i nic nie mów – mówi pani Taborowa i podaje jej kubek wody.
- Tylko na jedną noc, pani Taborowa, na tę jedną – wykrztusiła mama.
- Dobrze, dziecko, dobrze, nie martw się, ja cię na niejedną noc schowa Boże, zmiłuj się nad nami…



Pani Taborowa była starszą kobietą i miała zmęczone oczy, które wszystko wiedzą. A nawet więcej, więcej niż mogły zrozumieć. Była bezdzietna

i patrzyła na nas jak na dzieci. Na pewno się bała, ale i cieszyła, że może zaopiekować się dziećmi, których nie miała.

Trzymała nas w pokoju ze starannie zasłoniętymi oknami. Nie wolno nam było pochodzić do okna i nie wychodziliśmy z domu nawet na krok. Żeby nikogo nie spotkać. Żeby ślad o nas zaginął. Żeby ci co nas wygnali przestali się rozglądać. Żeby nabrali pewności, że zginęliśmy jak inni i nigdy już nie wrócimy. Siedzieliśmy cicho jak myszy, ale wiedzieliśmy, nie możemy zostać w małym mieszkanku dozorcy, do którego zawsze ktoś ma interes. Po paru tygodniach mama wyszła. W kapeluszu z gęstą woalką na oczy i w trzewikach na niskim słupku do pieszej podróży. Wyszła pod koniec dnia, żeby wsiąść do zaciemnionego nocnego pociągu. Wysiadła z niego po ciemku i doszła do Dobrego. Zakradła się do nauczycielki, która w swego czasu dostarczyła nam w aryjskie papiery i od niej dostała adres Esterki.

Esterka mieszkała w czerwonym domku koło Miłosnej przy kolei, gdzie Nutek był dróżnikiem. Wielki chłop, który całe życie handlował bydłem, nie bardzo umiał czytać i pisać, ale mówił gwarą z mazowieckich targów i jarmarków a w Miłosnej nikt go nie znał. Esterka powiedziała, że chętnie by mamę przyjęła, ale samą albo gdybym ja był dziewczynką. Ale dowie się o jakąś kryjówkę za dobre pieniądze, bo mało chce się narażać się przez nieobrzezane dziecko. Dlaczego mnie mama nie zostawiła z ojcem? Przecież to nonsens.

Więc mama jeszcze pojechała nocnym pociągiem i poszła w nocy do Radoszyny, do ludzi, u których ojciec trzymał dla niej pieniądze. Zmęczona po tylu kilometrach na pieszo zapukała w okiennicę.

- Kto tam? - Swój…
- Co za swój?!
- Niech pani otworzy, pani Janowska, niech pani się nie boi...
- Jezusie święty! — zawołała Janowska zdziwiona. — To Abramkowa żyje?!
- Niech mi pani pomoże, pani Janowska, mnie i dziecku, bo ginę...
- A toć pewno, że pomożemy, jakżeby nie... Ale co my, biedne ludzie, możemy?... Obudzę mojego.
- Niech pani nikogo nie budzi, pani Janowska, chodzi tylko o trochę pieniędzy z tego, co mąż mi zostawił i lepiej, żeby nikt nie wiedział.

Za chwilę z alkierza wyszedł Janowski, boso, w sznurowanych kalesonach, a za nim Wicek, starszy syn, też zdziwieni, że mama żyje.

- Pieniędzy? Jakich pieniędzy? Aaa, tamtych... Już dawno ich nie ma. Dalibyśmy, jakżeby nie, bo my uczciwe ludzie, ale nic nie zostało. Abramek zabrał, wszyściutko. Był chyba trzy razy...
- Albo i cztery...
- Albo cztery i zabrał.
- A jak przyszedł, to i ogrzał się, i chleba na drogę się dało. I zabrał co do grosza. Oddaliśmy, bo jakże, kiedy człowiek w potrzebie. My cudzej krzywdy nie chcemy...
- Ale pisał do mnie przez Arona, że specjalnie zostawił na wypadek, gdyby mnie i dziecku było potrzeba.
- Aa, tamte pieniądze...
- A tak… - przypominał sobie Janowski. Zostawił, aleśmy nie wiedzieli, co z tym zrobić, bo czasy takie niedobre, że nigdy nie wiadomo, tośmy zanieśli do dworu na przechowanie... We dworze zawsze bezpieczniej ...
- Jak tak, to idę do dworu - powiedziała mama.
- Do dworu?
- A gdzie też tam będzie po nocy chodzić? Bój się Boga, kobieto. Jeszcze kto nie daj Bóg zobaczy i nieszczęście na nas wszystkich. Niech lepiej Abramkowa wejdzie do alkierza, odpocznie, a kobieta pobiegnie do dworu, powie co i jak i w razie czego przyniesie. Bez obawy…
- Dobrze – powiedziała mam i weszła do ciemnego alkierza.
- I niech nie wychodzi aż się zawoła - dodała Janowska.

Mama słyszała, jak skrzypnęły drzwi, gdy Janowska wyszła. Siedziała po ciemku i czekała. Nagle słyszały. że znowu skrzypnęły drzwi i jeszcze ktoś wyszedł. Zaczęła nasłuchiwać. Po dłuższej chwili usłyszała, że drzwi się otworzyły i ktoś ciężko nastąpił na próg. Przyłożyła ucho do ściany i usłyszała szeptanie: „Niech Antoś idzie... Niech idzie i czeka... Innych słów nie mogła rozróżnić, tyko jeszcze parę razy „Antoś" i z rozumiała, że musi uciekać.

Przekradła się na palcach w drugi koniec alkierza do drzwi prowadzących do kurnika. Kury podniosły alarm. Deszcz padał i zerwał się wiatr, ale nie czuła deszczu i nie słyszała wiatru tylko głuche dudnienie, które ją goniło, i szept „Antoś" ... Uciekała przed tym złowieszczym szeptem i dudnieniem, które

zdawało się za nią gonić, ale rozlegało się w jej piersi i skroniach, i pod uderzeniami jej własnych stóp.

Esterka pożyczyła jej pieniędzy a mama jej dała kartkę dla Arona, żeby ojciec je Esterce zwrócił.

Esterka chodziła do kościoła, rozmawiała z ludźmi, wszędzie jej było pełno, a Nutek nie lubił się pokazywać. Pewnego dnia przyszedł Volksdeutsch z dwoma Niemcami i kazał mu wziąć szpadel i z nimi iść. Pewno go podejrzewał i dlatego nie powiedział, że chodzi o zakopanie zabitego. Nutek poszedł z nimi wzdłuż długiego płotu, a gdy płot się skoczył, skręcił w bok i zaczął uciekać, więc go zastrzelili. Esterka, gdy tylko go wyprowadzili, chwyciła dziecko na ręce i wybiegła tylną furtką, zostawiając ją szeroko otwartą na znak dla Arona. Aron przyszedł, zobaczył z daleka, że furtka jest otwarta to zawrócił. Pojechał na Pragę, na Wileńską, do Esterki brata i bratowej i zastał ją tam zapłakaną. Z Wileńskiej też wkrótce trzeba było uciekać. Aron przyszedł z bańką na plecach, a sąsiadka mówi, że już nie mieszkają.

- Ojej, byli mi winni za mleko… - zmartwił się Aron.

- A kto to dziś daje bez pieniędzy? - zdziwiła się tamta pani.

Zamieszkaliśmy u państwa Orlińskich na Zaokopowej. Blisko tego kościoła na Floriańskiej, gdzie cudem przypomnieliśmy sobie o pani Taborowej i chodziliśmy tam teraz co niedzielę. Dorosłe dzieci państwa Orlińskich, Wacek i Wera, niewiele młodsi od mojej mamy, wyciągali mamę na miasto i którejś niedzieli przychwycił ich uliczny fotograf.



Od prawej: mama, Wacek, Wera i jej narzeczony. Mama bez woalki, bo fotograf musiał widzieć jej twarz. Nikt na tym zdjęciu nie jest szczęśliwy a

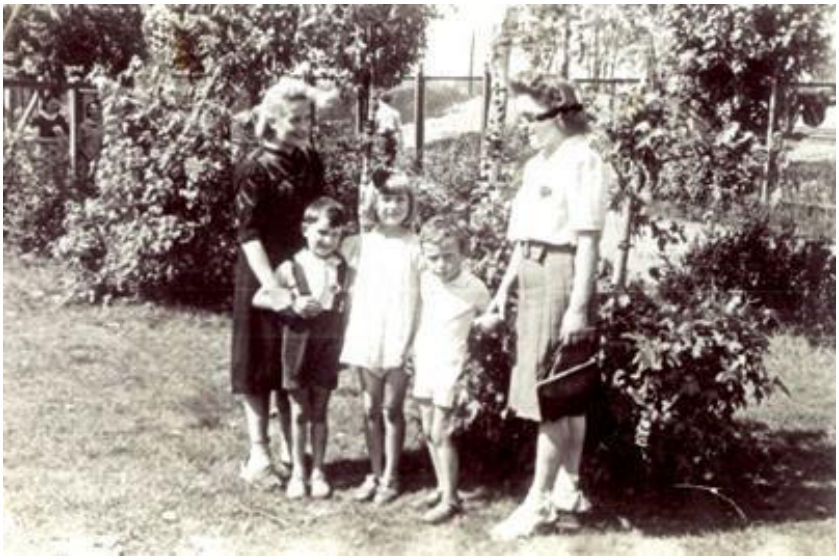
najmniej mama, która wiedziała, że nie powinna się fotografować. I wiedziała już, że nikt z jej rodziny nie żyje. Nie wiedziała, w jakich okolicznościach zginął dziadek, bo tego Aron jej nie powiedział, tylko że była obława i wszyscy zginęli. Stała więc na niewesołej ulicy, w towarzystwie niewesołych młodych ludzi z głęboką raną, która nigdy się nie zagoi i starała się, żeby nie było tego po niej widać. A wszystko to w dwudziestym szóstym roku życia. Było to na rok przed powstaniem, w którym padł Wacek razem ze swoim ojcem.

Wacka i Wierę odwiedzali młodzi ludzie, którzy przynosili tajne gazetki i próbowali wciągnąć mamę w swe sprawy, ale ani Orlińska się temu sprzeciwiała. Mama ma dziecko i dosyć własnych obowiązków, mówiła. Pewnego wieczora przysiadła na moim łóżku i łaskocząc mnie niby dla zabawy, włożyła nagle rękę pod kołdrę i pomacała mi ptaszka. Nie powiedziałem o tym mamie, żeby jej nie martwić.

Mama wolała wychodzić na miasto beze mnie, tak było bezpieczniej. Pewnego dnia wyszła i bardzo prędko wróciła.

- Wszystko mi zabrał, wszystko! - powiedziała do mnie wstrzymując płacz. Nic mi więcej nie powiedziała, a ja wolałem nie pytać. I mieliśmy szczęście, że mnie z nią wtedy nie było. Nie wiem, jak sobie tym razem sobie poradziła., pewno znów dzięki Esterce. My ze wsi i małego miasteczka nie wiedzieliśmy o żadnej „Żegocie". Musieliśmy polegać na sobie i jedni na drugich. Naszą „Żegotą" byli Aron, Esterka, pani Taborowa.

Gdy tylko zaczęło się lato pani Orlińska poradziła nam wyjechać na letnisko koło Wołomina, gdzie życie było dużo tańsze niż w Warszawie. Pan Orliński pojechał z mamą i znalazł nam miejsce w jednym z pożydowskich domków letniskowym na Stawkach do spółki z jego znajomą panią doktorową.



Pani doktorowa miała dwoje dzieci. Chłopiec był trochę młodszy ode mnie i bawiliśmy się na piaszczystym urwisku. On siusiał w piasek, z którego lepiliśmy babki i domki, i widziałem, że nie jest obrzezany. Ja nie siusiałem, bo byłem skromny i pani doktorowa chwaliła mnie za tę moją skromność.

Do pani doktorowej przyjeżdżała zza „zielonej granicy" Pszczółkowska, krępa kobieta, która przywoziła ze wsi masło, słoninę i kaszę. Gdy usłyszała, że mama jest nauczycielką, namawiała ją, żeby pojechała z nią za tę „zieloną granicę", gdzie, jak mama sama widzi, jest co jeść, ale brakuje im kogoś, żeby uczyć dzieci po polsku. Mama miałaby całkowite utrzymanie dla nas obojga. Gospodarze o nas zadbają, jeśli się zgodzi, bo dzieci od lat się nie uczą i jest to wielkie zmartwienie. Mama tłumaczyła, że trudno jej ruszać z dzieckiem w nieznane strony.

- A w Warszawie, gdzie zna pani ludzi, jest łatwiej? - pytała Pszczółkowska. - W Warszawie coraz drożej i niebezpieczniej, zwłaszcza dla samej kobiety z dzieckiem. Nieznane strony? Czasy teraz takie, że na nieznajomych można bardziej liczyć niż na znajomych – mówiła zaglądając mamie w oczy. - I czasem wśród nieznajomych łatwiej o dobrego człowieka, który pomoże w potrzebie, niż wśród tych, których się zna...

Mama w duchu przyznawała jej rację i czuła, że Pszczółkowska to dobra kobieta, na którą mogłaby w razie czego liczyć, ale bała się już wsi i pewno by się nie zgodziła, gdyby nie to, że gdy pewnego dnia w Wołominie wychodziła ze sklepu, zatrzymał ją starannie ubrany mężczyzna z teczką jak urzędnik.

- Pani mi kogoś przypomina... – powiedział.
- Pan się chyba myli - odpowiedziała mama, wiedząc, że on się nie mylił.
- Ejże?... Czy nie miała pani kiedyś ciemniejszych włosów?
- Nie, nigdy. Owszem, są trochę tlenione, bo teraz się takie nosi.
- A widzi pani... Ja się na tym trochę znam. Pani nie z Wołomina, prawda?
- Nie, tylko chwilowo... w odwiedziny – powiedziała i odwróciła się, żeby odejść.
- Chwileczkę…- przytrzymał ją za ramię. - Odprowadzę panią.
- Nie trzeba, nie wypada... Co by znajomi powiedzieli?...
- No to wstąpmy do cukierni, porozmawiać...
- O czym?
- O wspólnych znajomych...
- Może kiedy indziej, nie wzięłam nawet torebki...
- Kiedy, kiedy indziej?
- Jutro — zaproponowała mama.
- Nie, dzisiaj, za pół godziny – odpowiedział. Niech pani idzie, weźmie torebkę i wraca! Ja tu czekam.
- Nie zdążę za pół godziny. Za godzinę – targowała się mama.
- Dobrze, w cukierni. Tylko niech pani pamięta, że lepiej przyjść, bo Wołomin to małe miasto...

Nasze letnisko znajdowało się za miastem, po drugiej stronie torów kolejowych i mama nie wychodziła z domu, mówiła, że się źle czuje. Czekała na Pszczółkowską. Pszczółkowska była zachwycona, że mama nieoczekiwanie wyraziła zgodę na wyjazd.

Pojechaliśmy pociągiem do Małkini z przesiadką w Tłuszczu, gdzie na peronie wpadliśmy na żandarma z wielkim wilczurem.

- Spójrz, jaki cudny pies – powiedziała głośno mama, bo było wiadomo, że Żydzi boją się psów.
- Pogłaszcz go – zachęcała mnie, ale się nie odważyłem.

Później nam powiedziano, że ten żandarm jest zawodowym myśliwym, że wszędzie jeździ z tym swoim wilczurem i poluje na Żydów.

Z Małkini szliśmy przez las, przez który przeciągnięta była granica. Trzeba było ją przejść prędko w miejscu, gdzie druty były ściągnięte tak nisko, że mogła przez nie przejść nawet handlarka z pakunkami i obszernej spódnicy, żeby pod nią jak najwięcej ukryć. I trzeba było uważać na Niemca, który stał odwrócony plecami, bo stał tak tylko jakiś czas, po czym odwracał i się i jeśli kogoś zobaczył, to strzelał. Taka była umowa, której trzeba było przestrzegać. Tym bardziej, że ten Niemiec nie brał na siebie odpowiedzialności za to, co zrobi inny Niemiec, jeśli kogoś zobaczy.

Kobiety czekały w ukryciu, potem robiły znak krzyża i biegły z zakasanymi spódnicami przez druty i w głąb lasu poza zakazaną strefę przygraniczną po drugiej stronie. Wtedy padały na ziemię bez tchu i znów żegnały się znakiem krzyża, przyrzekając Matce Boskiej i sobie, że już nigdy więcej nie będą przez tę granicę przebiegać. Obiecywały to za każdym razem, gdy udało im się ją przebiec.

Biegłem z nimi prędko jak mogłem i nic nie mówiłem. Raz tylko zatrzymałem się zdumiony nieprawdopodobną ilością wielkich czarnych jagód, których nikt nie zrywał. Schyliłem się po nie, ale gniewne szarpnięcie przywołało mnie do porządku i pobiegłem dalej, depcząc miąższ jagód, których było tam tak dużo dlatego, że nie wolno było po nie się schylać. I dobrze, że nie było wolno, bo ten las koło Małkini otaczał Treblinkę a te jagody były tak bujne, bo żywiły się ludźmi, których tam uśmiercano. O czym mama i ja nie wiedzieliśmy, ale tamte kobiety wiedziały.

Przenocowaliśmy na podłodze u chłopa i następnego dnia zajechaliśmy furmanką do Świerż. To były właściwie trzy wsie - Świerże Górne, Świerże Dolne i Świerże Kończany - które ciągnęły się jak jedna. Wzdłuż wąskiej rzeki w cieniu wysokich rozłożystych drzew. Nikt nas tu nie znał, ale z drugiej strony wiedzieliśmy, że stąd już nie mamy gdzie uciekać. I że bierzemy udział w grze, może jeszcze niebezpieczniejszej niż dotąd, której pewno byśmy się jej nie podjęli, gdybyśmy mieli jakieś inne wyjście.

Mieszkaliśmy w szkole z Pszczółkowskimi i Kłodowskimi. Pszczółkowski był szewcem, a Kłodowski kowalem i obaj nie mieli własnych gospodarstw ni chałup, a szkoła była murowana i kryta dachówką a nie gontem czy słomą. Mieszkaliśmy u Kłodowskich, którzy mieli tylko dwie dziewczynki, starszą ode i młodszą. U Pszczółkowskich było to niemożliwe, bo mieli pięcioro dzieci., Dzieci nie chodziły do szkoły, myśmy chodzili do nich. Lekcje odbywały się co tydzień u

innego gospodarza, który przez ten czas nas żywił. Przychodziliśmy rano i dostawaliśmy śniadanie zanim przyszły dzieci. Gdy odchodziły, dostawaliśmy obiad, po czym przychodziły dzieci starsze, które w pierwszej połowie dnia potrzebne były w gospodarstwie. Po lekcjach popołudniowych dostawaliśmy kolację. Gospodarze byli bogatsi i biedniejsi i karmili nas lepiej lub gorzej, ale nigdy nie byliśmy głodni. Uczyłem się z młodszymi dziećmi spóźnionymi w nauce jak ja. Mieliśmy zeszyty w skośne linie i ładne, żółte ołówki pozostawione przez „Sowietów", którzy nie wierzyli w Boga, aresztowali każdego, kto nosił kapelusz lub krawat, mieli wspólne kuchnie i żony i zakładali kooperatywy. Mama uczyła polskiego, rachunków i katechizmu. Katechizmu uczyła z książeczki, którą w Zarębach od księdza i uczyła się go razem z nami…

Raz w miesiącu jeździła do Sokołowa, żeby rozjaśnić sobie u fryzjera włosy i przywoziła list od swojego męża, a mojego tatusia. „Kochana Zosieńko, bardzo tęsknię za Tobą i synkiem, jestem cały i zdrów i wierzę, że niedługo się znów zobaczymy..." - pisał mój tatuś, oficer i ułan, okrągłym pismem mojej mamy.

Mieliśmy go na fotografii, gładko uczesanego blondyna w mundurze.

- Ale to nie oficer tylko plutonowy - zaoponował Kłodowski.
- Wtedy jeszcze nie był, później awansował… - wyjaśniła mama.
- Ale te dystynkcje nie są ułańskie.
- Ty się tam znasz, ułańskie czy nie ułańskie – skarciła go Kłodowska.
- Pewno, że się znam, w wojsku co, nie byłem czy co?
- Byłeś i konie kułeś…
- No właśnie, ułańskie konie – upierał się kowal.

Musiała uważać na każdy gest, każde słowo. Już nie wystarczało chodzić z podniesioną głową i patrzeć ludziom w oczy. Trzeba było być z nimi. Cały czas. Od rana do wieczora. Rozmawiać, słuchać, jeść, pościć, modlić się i świętować. I nie trzymać się na boku, tylko tam, gdzie wszyscy, bo ludzie nie lubią takich, co się od nich odsuwają. I mówić, bo ludzie nie lubią takich, co milczą, i zawsze ich o coś podejrzewają. Musiała ciągle uważać, żeby nie popełnić gafy, nie zapomnieć czegoś, nie pomylić, a przy tym zachować naturalność i swobodę. Ciągle improwizować i być gotową do improwizacji. Nigdy zaskoczoną. Grać rolę, której przecież nie miała kiedy się nauczyć. Dzień w dzień, o każdej porze, bez żadnej przerwy na to, żeby się zastanowić,

odetchnąć od ciągłego udawania, spojrzeć w swą prawdziwą twarz... Siedzieć przy stole z ludźmi, których chleb jedliśmy i którzy opowiadali o sobie, i odpłacać im udawaniem i zmyślonymi historyjkami.

Ja nie grałem. Tak przywykłem do udawania, że przestawałem odróżniać prawdziwe od zmyślonego. Miałem tatusia, który służył w Mińsku Mazowieckim w siódmym pułku ułanów, miał na imię Stefan i był najwyższym mężczyzną na świecie. Miałem babcię, która grywała na pianinie, choć nie wiedziałem, jak wygląda pianino. Dziadka, który umarł na raka żołądka, chorobę ludzi szlachetnych, po którym mama właśnie nosiła żałobę. Nie musiałem zmyślać mitów jak inne dzieci. Miałem go, był gotowy i piękny. Dostarczała mi go codziennie moja własna mama, opowiadała go i przeżywała wraz ze mną i robiła to całkiem poważnie. Była wspólnikiem mojej najważniejszej zabawy.

W długie jesienne i zimowe wieczory schodziły się kobiety prząść i robić na drutach, a mężczyźni ogrzać się i popalić. W czasie tych długich wieczorów, gdy kobiety siedziały przy kołowrotkach lub nad robótkami z wełny i angory, a mężczyźni palili machorkę i opowiadali o Żydach, którzy kryli się i ginęli w okolicznych lasach nie tylko z głodu i zimna, ale z rąk ludzi, którzy wierzyli, że ich ciała i dusze zawierają złoto. Bo wtedy już nie było wiadomo, co wolno, a czego nie, a las zawsze im się kojarzył się z łupem. Jak kradzione drzewo. W lesie zwierzęta i ludzie podobnie wyglądają i podobnie się zachowują. Ludzie, którzy opowiadali te straszne historie w ciepłej, przytulnej izbie, nie wiedzieli, że mówią o nas, którzy siedzieliśmy pośród nich przerażeni i niewidoczni. Ze wstrzymanym oddechem, w tej samej izbie, przy tym samym stole.

Na Trzech Króli pokazywano jasełka z królem Herodem, który miał małe hitlerowskie wąsiki, z białą śmiercią z kosą, czarnym diabłem i „żydkiem", który wołał „aj-waj!" i robił pocieszne miny, miał brodę z pejsami i małą, czarną czapeczkę jak mój dziadek. Tej nocy mama obok mnie w łóżku płakała. W niedzielę pobiegła do Zarąb do kościoła, przyklękła przy konfesjonale i żaliła się młodemu wikaremu, który pomagał jej uczyć dzieci religii, że została sama na świecie, którego się coraz bardziej się boi, z małym synkiem, a to jeszcze większym napawa ją lękiem, i prosi o przebaczenie, że nic więcej nie może powiedzieć i przyszła się tylko wypłakać...

Niespodziany kłopot spadł na nas, gdy Kłodowski zaczął się do niej zalecać. Z pokoju Kłodowskich dochodziły do nas kłótnie. Z początku wymyślał po pijanemu żonie, lecz po jakimś czasie, widząc bezskuteczność swoich zalotów, zaczął złościć się na przybłędy, o których nikt nie wie, co za jedni i skąd. W końcu Kłodowska wzięła mamę na stronę i powiedziała, że jej jak najlepiej życzy, że się z nią zżyła i ma dla niej dużo sympatii i współczucia, ale jej mąż to nieobliczalny zakuty łeb i pijak i lepiej trzymać się go z daleka. Dlatego nie wypędza mamy, bo to byłby grzech, którego by sobie nie darowała, ale lepiej będzie, jeśli mama się przeniesie gdzie indziej. Jej nie chodzi o siebie, bo i tak ma już zmarnowane życie, ale o spokój dla dzieci, a i dla mamy tak będzie bezpieczniej. Mama nie wiedziała co robić. Jak mogła w swojej sytuacji pamiętać, że jest wciąż atrakcyjną młodą kobietą?

- Przebiedujemy jakoś razem - uspokoiła ją Pszczółkowska. Łóżko jest wąskie, ale się zmieścicie. Nasze dzieci śpią na podłodze, to położy się jeszcze jeden siennik, a jak wyjedziemy, bo wkrótce będziemy musieli wyjechać, to zostaniecie jak u siebie i jakoś przeczekacie...
- To już niedługo się skończy - potwierdził Pszczółkowski i zanucił „Ach, Zosiu ma, ja tylko chcę śpiewać tobie...” jak zwykle, gdy mamę widział, ale bez jakichś ukrytych intencji. Był smukły, wysoki i dobrze reperował buty, ale nie pasował do szewskiego zydla i wyobrażałem sobie, że tak wyglądałby mój tatuś „w niemieckiej niewoli”, gdybym go miał.

Spaliśmy we dwoje na wąskim łóżku a dzieci Pszczółkowskich na siennikach. Budziły się w środku nocy i nad ranem i popłakiwały: - Mamo, chleba… Pszczółkowska przychodziła z drugiej izby w białej koszuli jak duch i wtykała im w usta skórki chleba jak środek uspokajający. Pewnej marcowej nocy zbudził nas silny wiatr i mama mnie spytała na ucho: - Jak myślisz, czy nasz tata jeszcze żyje? - Żyje - odpowiedziałem, bo chciała to usłyszeć.

Pszczółkowska przywoziła z Warszawy gazetki. Małe, cienkie, drukowane tylko po jednej stronie, jakie widzieliśmy przedtem u Orlińskich. Pszczółkowski dawał je mamie do czytania. Wieczorami przychodził do niego Kaczorowski, który pracował w Zarębach na poczcie i sprzeczali się w drugim pokoju do później nocy.

We wsi było niespokojnie. Chłopcy, którzy zimą chodzili „w kawalerkę”, teraz nie wracali na noc do domu. Mundek, młodszy brat Kłodowskiej, wrócił

którejś nocy z nożem w plecach wcale o tym nie wiedząc, bo był mróz i nic nie czuł. Rano wszyscy wstają a pod łóżkiem kałuża krwi. Pamiętał tylko, że ktoś mocno uderzył go w plecy.

- Narodówka... - mówił Pszczółkowski. - Świerżewscy, Nienałtowscy, „ślachta". Mają herby przybite do chałup i lubią rządzić. Przed wojną jeździli do Białegostoku wybijać szyby w żydowskich sklepach.

Mama chodziła do Zarąb, klękała przy konfesjonale młodego księdza wikarego, robiła po warszawsku drobniutki znak krzyża i spowiadała się, że jest sama na świecie z małym dzieckiem, nie ma nikogo prócz Boga i przychodzi, żeby przed Bogiem się wyżalić. Przyjmowała komunię w niedzielę w kościele pełnym ludzi, żeby wszyscy widzieli.

Tym razem Kaczorowski zapukał w środku nocy i bardzo krótko rozmawiał z Pszczółkowskim. Pszczółkowska spakowała rzeczy, który mieli niewiele.

- Nie martw się, Zosia, to już niedługo …— pocieszał mamę na pożegnanie Pszczółkowski a Pszczółkowska jej przypomniała, że w razie czego może polegać na Kłodowskiej, bo to dobra kobieta.

Mama ryglowała na noc drzwi i nasłuchiwała, ale to, że byliśmy w nocy sami miało i dobre strony. Mogłem się rozebrać się do naga, żeby, mama mnie natarła maścią, gdy złapałem świerzb, a potem ja nacierałem maścią jej plecy, gdy ode mnie się zaraziła. Musieliśmy jak najszybciej zgubić ten świerzb i nikt nie powinien się o nim dowiedzieć, bo przerwano by lekcje i kto by nam wtedy dawał jeść? No i ludzie mogli powiedzieć, że świerzb to żydowska choroba...

Nagle Kłodowska mamie powiedziała, żeby jakiś czas nie nocowała w domu.

- Co się stało? - spytała mama, czując, że blednie.

- Lepiej nie pytać.

- Niemcy? Dowiedzieli się o lekcjach?...

- Nie Niemcy.

- A kto?...

- Nie mogę dużo powiedzieć, ale nie o Niemców chodzi.

- Więc o co?... Co ja zawiniłam? Przecież uczyłam dzieci... Najlepiej jak mogę, czego jeszcze można ode mnie chcieć?...

- Dlatego przyszłam... - powiedziała Kłodowska.

- Uczyłam nawet religii...

- Niech się pani nie boi – uspokoiła ją Kłodowska. - Są ludzie, którzy nie dadzą pani skrzywdzić, tylko na razie lepiej nie nocować w domu, bo ktoś oskarżył...
- O co?...
- No że nie wszystko jest z panią jak trzeba, że nie jest tą, za kogo się podaje… Że jest pani…

Mama zmartwiała pewna, że zaraz usłyszy słowo, którego się bała najbardziej ze wszystkich słów, ale Kłodowska tylko smutno się uśmiechnęła.

- Że jest pani szpiegiem…
- Szpiegiem?! – zdumiała się mama i poczuła ulgę.
- No właśnie… Ja jestem kobietą to widzę i wiem, że pani chodzi tylko o życie, swoje i dziecka, kobieta to rozumie... Trzeba tylko przeczekać aż wszystko się uspokoi.

Mama spała kilka nocy w Zarębach u Kłodowskiej siostry, a ja znowu u Kłodowskich z ich małą Tereską. Naciągaliśmy kołdrę na głowę i bawiliśmy się w ciemności naszymi nieskromnymi rzeczami. Tereska za mała, żeby coś po moim ptaszku poznać.

Oczywiście to ksiądz sprawił, że nas zostawiono w spokoju. Natomiast Kaczorowski uciekł wkrótce po Pszczółkowskich, bo ktoś odkrył, że ukrywa w piwnicy Żydówkę. Uciekł razem z nią i mówiono, że to była jego żona.

Gdy przyszła wiosna zaczęła się nauka u księdza. Mama nie chciała mnie posłać, bała się, że coś wydam. Mówiła, że jestem jeszcze za mały. - Nie szkodzi, że mały, lepiej posłać – radziła Kłodowska.

Biegłem co rano z dziećmi do Zarąb przez łąki pachnące wilgocią. Zrywaliśmy po drodze kaczeńce i kładliśmy je na ołtarzu. Staliśmy przed ołtarzem w dwóch rzędach, a z góry patrzył na nas Bóg ukryty za tajemniczym światełkiem. Ze ścian spoglądały postacie z brodami, jakich dawno nie widziałem, a wysokie witraże grały melodie kolorów. Młody ksiądz przychodził w zgrabnej sutannie do ziemi i białej komży i dostojnymi gestami odprawiał nad naszymi głowami nabożeństwo. Z pobłażliwą łagodnością wtórowały mu gotowe na każde jego skinienie organy, które z trudem się powstrzymywały, żeby nie zagrzmieć z całej ukrytej w nich mocy. Gdy ksiądz przyklękał, w górę unosił się niebieskawy dymek i przesłaniał twarze świętych z wyciągniętymi ku

nam ramionami. Kościół napełniał się aromatyczną wonią, jakiej nie czuło się na żadnej z pobliskich łąk.

Ksiądz uczył nas o Abrahamie, Izaaku, Mojżeszu, Aaronie… Innym dzieciom trudno było zapamiętać te imiona zapamiętać, a mnie bardzo łatwo. Opowiadał i zadawał pytania. Skinieniem głowy potwierdzał dobre odpowiedzi a opuszczał głowę, gdy spodziewana odpowiedź nie padała.

Historie, które nam opowiadał bywały bolesne i przejmowaliśmy się nimi. Cieszyliśmy się, że my, w przeciwieństwie do ludzi, o których ksiądz opowiadał, nie nienawidziliśmy nikogo, nie zdradzaliśmy, nie chcieliśmy nikogo zabić. Gorzej było z przywłaszczaniem sobie pudełek od zapałek, wierzbowych gwizdków i kolorowych kredek. Baliśmy się szatana, który czyhał za naszymi plecami i znał wszystkie nasze złe czyny. Poczuciem winy napawała nas również skłonność do bawienia się nieskromnymi rzeczami. Ale najgorsze było z niemówienie prawdy. Zwłaszcza gdy ktoś jak ja miał taką, której nie wolno było powiedzieć i musiał kłamać codziennie przez samo swoje istnienie...

Najbardziej wstrząsająca była opowieść o Panu Jezusie, który choć był synem samego Pana Boga, to jednak zaraz po urodzeniu się i przyjęciu należnych mu hołdów i prezentów, które ludzie chętnie składają nowonarodzonemu, musiał uciekać wraz ze swą udręczoną młodą matką przed żołnierzami Heroda i ukrywać się w obawie, żeby go nie wydano. Później wyrósł na najlepszego i najmądrzejszego z ludzi, o których wszystko wiedział i którym bardzo współczuł, zwłaszcza słabym, niemądrym i zaślepionym, a nawet niedobrym i nieuczciwym, których usiłował przestrzec przed bezsensem ich nieuczciwości, która im samym przynosi najwięcej zła. Ponieważ tego nie rozumiano, ostrzegał ich przed nieuniknionym Sądem Ostatecznym, który czeka każdego, cierpienie z powodu zmarnowanej szansy pięknego życia nazywał Piekłem, a dręczącą pamięć popełnionego zła Wiecznym Potępieniem. Kochał ludzi i chciał im pomóc, bo sam bał się śmierci nie mniej od nich i tym bardziej im współczuł. Ale mu nie uwierzyli. Bo ludziom jest trudno uwierzyć, że ktoś jest lepszy od nich i podejrzewają go o wszystko, tylko nie o życzliwość. O, wy małej wiary! - wołał zawiedziony, że to, co dla niego było tak proste, dla nich graniczyło z niemożliwością. Ileż niesprawiedliwości doznał - nawet w tamtych naiwnych dawnych czasach - mówiąc prawdę i odkrywając swe serce.

Czasami chciał po prostu zamknąć oczy i umrzeć, i nigdy nie zmartwychwstać. A jednak tego nie zrobił. Nie opuścił ich, chociaż wiedział, że zostanie przez nich zdradzony i zadręczony. Jakżeby mógł o tym nie wiedzieć? Przecież był Bogiem, a nawet człowiek wie takie rzeczy od razu.

Miał wyjątkowe szczęście do ludzi, bo tylko jeden na dwunastu okazał się zdrajcą. Bolało go to jednak bardziej niż inne rany i jeszcze raz o mało nie zwątpił. Musiał być więcej niż człowiekiem, ażeby wytrwać. Gdyby bowiem i on zwątpił, na marne by poszło także jego cierpienie. I któż dałby świadectwo całej prawdzie, gdyby nawet on, który przyniósł jej z sobą najwięcej, uległ jak inni, zrezygnował i się cofnął? - Nie - powiedział. - Raczej musicie mnie zabić! To jest cena, którą musicie zapłacić za wasz brak wiary, wiary w samych siebie! Był Bogiem, dlatego pozostał wierny sobie i swojej klęsce, którą tak wcześnie przewidział. Spokojnie poszedł na Golgotę i w spokoju skonał, bo wiedział, że uczynił wszystko, co mógł. Więcej nie mógł nawet Bóg. A uczynił to jako pierwszy.

Historię tę należało pamiętać lepiej niż wszystkie inne. Ksiądz, chcąc ją w nas utrwalić, zadawał pytania, na które odpowiadało się ze swojego miejsca w rzędzie. Ale mnie przywoływał do siebie, kazał stawać obok niego na stopniu ołtarza i opowiadać zwrócony twarzą do dzieci. Wzbudzało to u nich podziw i zaczęły nazywać mnie... księdzem.

- Dlaczego oni zabili Pana Jezusa? - zapytałem mamę.
- Kto?
- Żydzi.
- Żydzi go zabili?
- Tak, Żydzi.
- Nie wiem, dziecko, ale myślę, że gdyby się nie urodził wśród Żydów, to nieŻydzi by go zabili.

Nie było więcej szkoły, bo młodsze dzieci chodziły na naukę do księdza, a starsze były potrzebne do pasienia krów. Tylko Nienałtowscy brali nas jeszcze do siebie, żeby ich chłopcy mogli się trochę więcej nauczyć. Tylko co drugi dzień, ale dawali nam wtedy obiad i kolację, a jedzenie u nich było zawsze dobre. Inni gospodarze brali nas do sadzenia kartofli a albo przysyłali nam co mogli niby „za przeszłe". Był przednówek i u nikogo, się nie przelewało. Zbierałem szczaw na

łące i nad wodą i przynosiłem chrust, żeby mama miała na czym ugotować z tego szczawiu zupę.

Jadzia, dorosła córka Nienałtowskich przyniosła mamie kawałek lnianego płótna, które dla nas utkała na domowych krosnach i wybieliła na słońcu, żeby mama miała mnie w co ubrać do komunii. A miałem przystąpić do komunii z grzechem, bo nie byłem ochrzczony. Powiedziałem mamie, że to śmiertelny grzech, gdy ktoś coś takiego zatai na spowiedzi i przyjmie komunię, że chyba nie chcę, żebyśmy przez to zginęli.

- Ale przecież to niemożliwe, żeby nasz ksiądz nas wydał.

-Wystarczy, że będzie musiał cię ochrzcić… - odpowiedziała.

- To może nie przystąpię do spowiedzi?
- Musisz, jak wszystkie dzieci.
- To może nie do komunii?...
- Też musisz jak wszyscy.
- I mam mieć śmiertelny grzech?
- Jeśli tego nie zrobisz i powiesz co nie trzeba, to będziesz miał jeszcze większy grzech...

Kościół był wypełniony odświętnie ubranymi ludźmi, łagodnymi, uśmiechniętymi. Ich pobożne głosy unosiły się i opadały przy akompaniamencie organów. Klękali zgodnie i zgodnie wstawali wpatrzeni w ołtarz i w nas, którzyśmy przed ołtarzem klęczeli. Miałem ubranko z podarowanego białego płótna z niebieskim marynarskim kołnierzem i biały marynarski beret z niebieską wstążką. Po nabożeństwie wyszliśmy do naszych wzruszonych matek i ksiądz wręczał każdemu z nas pamiątkowy święty obrazek. Każdemu jeden, a mnie - dwa. Ostrożnie stąpałem po ziemi, od której oddzielały mnie od białe podkolanówki i pomimo ciężkiego grzechu czułem się czysty jak anioł.

Latem pasłem krowy z chłopcami Nienałtowskich. Paliliśmy ogniska i ganialiśmy się z psami. Krowy pasły się i bez naszej pomocy, spokojnie, między zielenią łąk a błękitem nieba, do czego miały nieulegające żadnej wątpliwości prawo i dzieliły się tym prawem z ptakami, żabami i biedronkami w łatwy i prosty sposób, jaki nie był możliwy u ludzi. Boże, jak dobrze jest krowom i jak dobrze jest paść krowy, myślałem. Był taki chłopiec, któremu wszystkich zabili,

więc chodził od wioski do wioski i pasł krowy. Mówił, że nie pamięta, skąd jest ani jak się nazywa, więc go nie pytano. Dostawał nocleg w stodole albo oborze, miskę jedzenia i przebywał tylko z krowami. I nie było na świecie człowieka szczęśliwszego od niego, bo w końcu naprawdę zapomniał, kim był, skąd przyszedł i jak się nazywał...

Przestaliśmy paść krowy, gdy nadciągnęli Niemcy. Ich wielkie belgijskie konie, brunatne z bujnymi jasnymi grzywami, ciągnęły wielkie rolwagi, załadowane po brzegi.

- Dobre konie jeszcze mają - mówili ludzie z podziwem.

Wiedzieli, że te konie już niewiele Niemcom pomogą, więc nie skąpili podziwu. Parę wozów zatrzymało się przy kuźni Kłodowskiego i Niemcy zaczęli chodzić po wsi. Jeden wszedł do kuchni, gdzie mama z Kłodowską obierały kartofle. Poprosił wody, a potem siadł na stołku naprzeciw mamy, podparł się karabinem, patrzył i nie zabierał się do wyjścia.

- Jak długo on ma zamiar tu siedzieć? – powiedziała Kłodowska do mamy. - Powiedz mu, żeby sobie poszedł! Z powrotem na wojnę, pif, paf!... Do kolegów, którzy już poszli. Kameraden! - zwróciła się wprost do niego. Niemiec spojrzał na nią i coś powiedział.
- Co on mówi? - spytała Kłodowska.
- Że ma już dość wojny, że już nie chce wojować.
- Rychło w czas o tym pomyślał - powiedziała Kłodowska.
- Mówi, że dawno już nie jadł domowego obiadu.
- Powiedz mu, że trzeba było siedzieć w domu, u żony, toby jadł! A tak to będzie tu ziemię gryzł...

Niemiec wyjął z pochwy bagnet, sięgnął po kartofel i zaczął obierać. Pewno myślał, że ten sposób zapracuje na obiad.

- A jak on na ciebie patrzy! - powiedziała Kłodowska. - Jakby naprawdę miał apetyt na coś domowego...

Twarz mamy się oblała rumieńcem, ale nie był to kobiecy rumieniec. Naprzeciwko niej siedział i patrzył na nią pożądliwie Niemiec. Co on myślał to było widać, ale co mama sobie myślała, tego nawet się nie domyślał…

Wtem przed szkołę zajechał szary samochód. Niemiec rzucił kartofel, chwycił karabin i wybiegł. Z auta wysiadł major w szarozielonym mundurze ze srebrzystymi naramiennikami i błyszczących butach z cholewami. Poszedł

prosto do kuchni i kazał sobie upiec kaczkę. Wszyscy uważali, że kaczkę na taką okazję powinna przyrządzić mama jako osoba z Warszawy. Kobiety się wzięły do pracy a major zawrócił do auta. Stałem z gromadką dzieci i gapiliśmy się na niezwykłe zjawisko, jakim na wsi było auto. Major uchylił drzwiczki i skinął na mnie, żebym wsiadł.

- Idź, idź! - wołały dzieciaki.

Auto miało miękkie siedzenia z czarnej skóry, które miękko uginały się na wybojach. Jechaliśmy gościńcem obsadzonym olbrzymi topolami, które właśnie ścinano i kopano rowy. Olbrzymie topole były jeszcze większe gdy leżały na ziemi. Pracowali chłopi z całej okolicy a nadzorowali ich żołnierze w mundurach z zakasanymi rękawami. Jechaliśmy zwolna, zatrzymywaliśmy się i major rozmawiał z żołnierzami, pokazywał im palcem co i jak a oni salutowali i śmiali się wskazując na mnie, że niby kiedy major zdążył dorobić się na tej wojnie takiego dzieciaka. Major odpowiadał łaskawym uśmiechem i wszyscy byli w dobrych humorach, choć nieprzyjaciel był blisko i pewno wiedzieli, że wkrótce będą uciekać dalej.

Bardzo mi się podobała ta pierwsza w życiu przejażdżka autem wśród tak przyjaznych ludzi i czułem się całkiem bezpieczny, a nie wiedziałem, że gdy tylko ruszyliśmy dzieciaki wpadły do kuchni z krzykiem, że Niemiec zabrał mnie i odjechał. Mama zmartwiała: ktoś wydał, zaraz mnie sprawdzą i przyjadą po nią. Serce jej stanęło, lecz nadal stała przy piecu i nadziewała kaczkę jabłkami, nie dając nic po sobie poznać. - Chciał zrobić dziecku przyjemność - powiedziała, opanowując drżenie głosu. - Może ma takiego samego - dodała, opanowując drżenie rąk, gdy zaszywała nadzianą kaczkę i wstawiała do pieca i nie wychodząc z roli nakrywała stół wyszywanym obrusem, żeby wszystko było na czas i żeby major był zadowolony. Ponownie zmartwiała, słysząc warkot wracającego samochodu, który mógł właśnie jechać po nią. I nikt nie miał pojęcia, co przez cały ten czas w niej się działo. Nawet ja, bo i mnie nie dała nic po sobie poznać, bo wolała, żebym nie wiedział.

Kaczka majorowi smakowała i chciał, żeby mama się poczęstowała, ale na to już nie mogła się zdobyć i przeprosiła, że musi zająć się dzieckiem. Major popił z własnej butelki, zapalił papierosa i kazał, żeby mu zaśpiewać po rosyjsku.

- My nie ruskie - broniły się kobiety.
- Wszystko jedno, śpiewać po rosyjsku! - rozkazał.

Jadzia Nienałtowska zawołała dwie koleżanki i zaśpiewały mu „Rozkwitały jabłonie i grusze” – trochę po rosyjsku a trochę po polsku. A zaraz potem
„Rozkwitały pąki białych róż”, że niby też po rosyjsku i też mu się podobało.

W nocy słychać było dalekie armaty, a gdy nastał dzień nadlatywały szrapnele i zapalały słomiane dachy. Ludzie biegli gasić, ale Niemcy nie pozwalali. Nienałtowski zorganizował zbiórkę kaczek, gęsi, słoniny i pośpieszył do Niemców z mamą jako tłumaczką. Przyjęli wszystko i wyrazili zadowolenie z tak szczerej lojalności, ale powiedzieli, że muszą wieś spalić, bo taki jest rozkaz. Przyniesiono im jeszcze więcej drobiu i słoniny i też wszystko wzięli, ale niestety rozkaz to rozkaz…

- To niech przynajmniej szkoła zostanie - prosili ludzie. - Jest murowana, z dachówką, ogień nie chwyci, a może przygarnąć sporo ludzi.

Zobaczą, co się da zrobić - odpowiedzieli. Na razie jednak, nie będąc niewdzięcznikami, zaopiekują się ludnością, nie zostawią na pastwę ognia i wroga. Wszyscy mieszkańcy opuszczą wieś pod opieką wojska. Trzodą i innym inwentarzem zajmą się tabory.

Szybko się zapalały słomiane dachy stodół i chałup. Ludzie się oglądali za siebie, która już się już pali, a która jeszcze nie. Wiele razy tak było, jak długa historia tych wsi. Ale niepoprawni mieszkańcy - zadufani i zaślepieni przez naturę, która każe im za każdym razem na nowo wierzyć w trwałość tego, co robią i posiadają - wydawali się zaskoczeni, jakby zdarzyło się to po raz pierwszy. A gdy byliśmy już daleko od wsi, jasno, strzeliście, okazalej niż wszystkie inne budynki zapaliła się polana benzyną szkoła.

Po drodze selekcjonowano bydło. I ludzi do kopania dodatkowych okopów. Żandarmi na skrzyżowaniach wypatrywali co młodsze twarze. Żołnierze na koniach uwijali się po obu stronach gościńca, poganiając konie, które poganiały ludzi. Na horyzoncie narastał huk i nawet już widać było dymy armatnich wystrzałów.

- Dokąd nas gonicie?! - wołali ludzie do końskich pysków.
- Po co wam kobiety z dziećmi i starzy? Zostawcie nas! Zabraliście już wszystko, więc przynajmniej nas zostawcie!

- Na zatracenie nad gonią! - zawołał Nienałtowski. – Uciekajcie, ludzie! Jak wszyscy zaczną uciekać, to nie dadzą rady!...

Nienałtowski rzucił się do ucieczki i paru chłopów za nim. Kobiety z dziećmi bały się uciekać.

- Halt!- zawołał Niemiec na koniu. Ściągnął uzdę i podniósł karabin.

Nienałtowski wskoczył do rowu, skąd widać było tylko jego granatową maciejówkę.

- Halt! – ponownie zawołał Niemiec.

Dwaj chłopi zatrzymali się i zawrócili, ale maciejówka Nienałtowskiego wciąż w rowie podskakiwała.

- Wracaj, stary! — zawołała Nienałtowska.
- Niech tato wraca! - zawtórowała Jadzia.

Niemiec opuścił karabin. Wszyscy się zatrzymali się i czekali. Nienałtowski wylazł z rowu, zdjął czapkę, otarł rękawem czoło, otrzepał cholewy. Wtedy Niemiec znoów podniósł karabin... Nienałtowski rzucił czapkę na ziemię i zaczął znowu uciekać. Niemiec strzelił dwa razy. Nienałtowska pobiegła i podniosła z ziemi granatową czapkę.

Wtem rozległa się strzelanina z kilku stron naraz i nikt nie wiedział, w którą stronę iść. Kobiety prosiły, żeby mama się zwróciła się do najstarszego rangą jeźdźca i wytłumaczyła, że przecież nie mamy już dokąd iść, że dzieci nie mają już sił, niech pozwolą nam się ukryć.

Niemiec, któremu mama to powiedziała spojrzał na nas z wysokości konia i wskazał na mnie. Mama bez słowa podsadziła mnie na siodło. Koń był wysoki, więc kurczowo trzymałem się jego grzywy, ale mama z dołu się uśmiechała.

- Nie bój się, synku, bądź zuchem! Podziękuj panu żołnierzowi, ten pan ma takiego synka jak ty...

Niemiec siedział w siodle, a ja na zadartej krawędzi siodła i gdy koń schylał łeb, żeby skubnąć trawy, zawisałem nad otwartą przepaścią. Chwytałem się wtedy munduru wiozącego mnie Niemca a mama przy strzemieniu uśmiechała się i jednocześnie strzegła mnie uważnym spojrzeniem.

Nikt na tej drodze nie był pewny swego losu, ale też nikt - może z wyjątkiem Kłodowskiej – nawet się nie domyślał, że my, mama i ja, nie

mieliśmy prawa iść żadną z tych dróg. Ci, wśród których urodziliśmy się i z którymi mieliśmy żyć, zginęli na wcześniejszych drogach, na których nas z nimi nie było. Z tą różnicą, że oni mieli swoje imiona, a my, gdybyśmy teraz zginęli, to nikt by nawet nie wiedział, że to byliśmy my.

Mama wyglądała jakby już się niczego nie bała. Spokojnie patrzyła na Niemca, który mnie wiózł, i swobodnie z nim rozmawiała, choć mówiąc z Niemcem zawsze musiała uważać, żeby w jej niemieckich słowach nie zdradziło jej coś z żydowskiego. Idąc obok Niemca, który mnie wiózł na swoim koniu, zdawała się już o tym nie pamiętać. Szła wyprostowana, jakby nie czuła zmęczenia, a w uśmiechu, którym odpowiadała na uwagi Niemca, nie było nic przymilnego. Przeciwnie, zdawała się mówić: - Jedź, jedź! Nie jesteś ani lepszym, ani gorszym od każdego innego Niemca, tylko nie wiesz tego, czego Niemiec nie powinien wiedzieć... Tak czy owak jedziesz ku swemu przeznaczeniu, więc czemu nie miałbyś podwieźć mojego małego synka? Jest tyle razy mniejszy od ciebie, a ile więcej sił na tym świecie sprzysięgło się przeciwko niemu? Dlatego wieź go, wieź! To najlepsze, co jeszcze możesz uczynić...

Widziała, jak chwytałem się sukna jego munduru, gdy koń schylał łeb i uspokajała mnie: - Nie bój się, synku! A chciała powiedzieć: - Nie bój się tego Niemca. On już się nawet nie gniewa, że szarpiesz jego piękny mundur. Przeciwnie, cieszy się, że cię ma na swoim siodle w tej niepewnej dla niego godzinie. Widzisz? Uśmiecha się, bo się boi... Siedź na jego siodle, zrób to dla niego, na razie tak jest lepiej i jemu, i nam...

Front, przed którym uciekaliśmy, nie wiadomo jak znalazł się nagle przed nami. Niemcy tego nie przewidzieli. Przed wieczorem nadleciały samoloty. Niebo od nich pociemniało, jakby nadleciała wielka, deszczowa chmura. Niektóre zniżały się i sypały drobnym, gęstym deszczem. Ktoś krzyknął:

- Cywile, nie kryć się!

Ludzie się rozbiegli po polu. Noc przesiedzieliśmy między snopkami. Rano mężczyzna w jasnej bluzie rozgarnął snopki i powiedział - zdrastwujtie! Przy drodze leżał przyszyty do zielonej murawy koń. Wyszliśmy na obmytą kulami ziemię.

KONIEC

POSŁOWIE

„Żydowską wojnę” pisałem wiosną 1965 roku. Wtedy każdy chciał być powieściopisarzem. Stąd elementy fikcji, które powyżej usunąłem na rzecz prawdy nieartystycznej.

„Pojechaliśmy więc tramwajem do końca i wysiedliśmy aż na pętli, na Grochowie. Zapadał zmrok i tramwaj zawracał do zajezdni. Inny, również już prawie pusty tramwaj, nadjechał i wysiedli z niego jacyś państwo. – Dobrze – powiedziała mama. – Nie pójdziemy do Wisły. Pójdziemy do tych ludzi i niech z nami zrobią, co chcą!... – mówiąc to pociągnęła mnie za sobą i podeszliśmy do państwa, którzy wysiedli z tramwaju. Kiedy tylko podeszliśmy, mama od razu powiedziała, kim jesteśmy i co tu robimy. Powiedziała, że jeśli chcą, to mogą nam pomóc, a jak nie, to niech nas zaprowadzą do Niemców. Niech zrobią zresztą, co chcą!... Ten pan zbladł, a pani zakryła dłonią usta... Po czym ten pan uchylił kapelusza i powiedział, że nazywa się Orliński, wziął od mamy walizkę i kazał nam z nimi iść”. Tak jest w oryginale i wszyscy w to uwierzyli, ale scena ta jest fikcją napisaną z potrzeby psychicznej, dla pokrzepienia własnego serca i postulatem. Jest prawdopodobna i pewno podobne rzeczy się naprawdę zdarzały. Państwa

Orlińskich, którym też mieliśmy sporo do zawdzięczenia, zastępuje teraz mniej efektowna, ale całkiem autentyczna pani Taborowa (patrz „Pamiętnik 5”), która naprawdę uratowała nam wtedy życie.

„Chłopstwo było ciemne i zabobonne. Grzech mówili nie pomóc”. To również fikcja dla pokrzepienia, tylko bardzo naiwna, bo dziś wszystkie dokumenty, których wtedy zupełnie nie znałem, wskazują, że za grzech uważano raczej pomaganie Żydom. Tym większa chwała tym, co grzeszyli.

„Przyszli do niego w nocy. Nie Niemcy, tylko koledzy... Mieli do niego żal. Może o to, że Pszczółkowski uciekł, a może o coś więcej? Kiedy wyprowadzili go z domu, przeszukali piwnicę, w której szukali czegoś innego, ale znaleźli niedużą, mizerną kobietę, Żydówkę, która, jak się okazało, była jego żoną. Nikt nie wiedział potem, co z nią zrobili”. Tak o tym mówiono i tak najczęściej bywało, ale mama po przeczytaniu książki powiedziała mi, że akowiec Kaczorowski, o którym tu mowa, zdołał w porę uciec ze swoją niearyjską żoną i oboje żywi i cali odwiedzili ją po wojnie w Łodzi.

Pomyliłem się również pisząc, że w powstaniu „zginęli i pan Orliński, i jego syn Wacek, i Wera”. Wera wyszła z powstania z życiem i też po wojnie mama widziała się z nią i panią Orlińską w Łodzi. Obie wyjechały zaraz do Ameryki , bo Państwo Orlińscy byli obywatelami amerykańskimi, którzy nieopatrznie znaleźli się w czasie wojny w Polsce, o czym myśmy nie wiedzieli.

„Major udał się z powrotem do samochodu. […] Zauważył mnie, zatrzymał się przy drzwiczkach i skinął ręką, że mogę z nim się przejechać. - Idź, idź! – wołali ludzie […]. Ale ja uciekłem czym prędzej do kuchni”. Tak skłamałem w oryginale, bo tak powinno postąpić żydowskie dziecko i jako autor myślałem sobie, co to da mojej opowieści, że opiszę moją przejażdżkę niemieckim samochodem? A nie wiedziałem, że zaraz po moim odjeździe dzieciaki wpadły do kuchni z krzykiem, że Niemiec zabrał mnie i odjechał. I nie wiedziałem, co ona przeżyła podczas tej mojej pierwszej z życiu przejażdżki samochodowej, bo powiedziała mi o tym dopiero po przeczytaniu książki. Na emigracji książek nie wznawiano, bo nie starczało środków na nowe, dlatego drugie wydanie ukazało się dopiero w 1989 roku, ale powinienem był od razu ten epizod uzupełnić i bardzo żałuję, że wtedy o tym nie pomyślałem.

Ani mama, ani ja nie wiedzieliśmy, jak zginął dziadek. Aron dopiero po jej śmierci mi powiedział. Nikt nie powiedział jej również, jak zginął nasz Buciek. Gdy z filmu „Miejsce urodzenia" dowiedziałem się, że znaleziono go porzuconego w Piwkach koło młyna, poleciałem do Arona do Tel Awiwu i spytałem, u kogo mama go zostawiła. - U młynarza w Piwkach - odpowiedział Aron. Dobrze, że i tego nie wiedziała. A żandarm z psem, na którego wpadliśmy w Tłuszczu odpowiada rysopisowi Steina, sadysty, który w Jadowie przy ludziach naszego Bućka zastrzelił. Oboje wiedzieliśmy o obławie, ale nie znaliśmy szczegółów. Dlatego w oryginale posłużyłem się wyobraźnią, opisując egzekucję całej rodziny. Była to prawda o tyle, że takie koszmary z pewnością się zdarzały, ale nasz koszmar taki jak w obecnej prawdzie nieartystycznej.

W oryginale zastosowałem dwa kompozyty, przypisując - dla walorów beletrystycznych - parę epizodów z przeżyć Słonia i Biumka głównemu bohaterowi, którym był mój ojciec. Nie naruszało to epickiego obrazu ani historycznej prawdy wydarzeń, ale zwracam teraz te epizody właściwym protagonistom i ich potomstwu, bo historii jak nasza nie potrzeba tak dużo artystycznego uznania. Dla ochrony dóbr osobistych zachowałem fikcyjne nazwiska i imiona. Przy okazji usprawniłem trochę kompozycję i zaoszczędziłem sporo słów.

Czego jeszcze w 1965 roku nie wiedziałem? Że ojca zabito nie tylko za pieniądze. I że ziemię obmyć może niestety tylko potop. A wcześniej publikowane fotografie powtarzam, ponieważ tutaj są we właściwym czasie i miejscu akcji.



Foto: Bożena Dudko